№ 18. Warszawa, dnia 23 Kwietnia (5 Maja) 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.- Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

HISTORYCZNY RZUT OKA NA OGRODY,

według konferencyi p. Jana Dybowskiego.

Przez

Sewerynę Duchińską.

W pośród niezliczonych konferencyi wieczornych, któremi paryscy specyaliści, starają się upowszechniać rozmaite wydziały nauk i uczynić je dostępnemi dla ogółu, zajęły nas szczególniej w tym roku konferencye o ogrodnictwie p. Jana Dybowskiego. Miło nam prawdziwie, widzieć młodzież polską zrodzoną i wychowaną na obczyznie, gdy mając otwarte przed sobą źródła wszechstronnej wiedzy, czerpie z nich skrzętnie, wspierana myślą, że nauka jaką zdobyła z trudem, spłynie na kraj niby ożywcza rosa. Z pociechą też patrzymy na tych młodych rodaków, którzy wyższą zdolnością i wytrwałą pracą nakazują obcym poszanowanie dla siebie i narodu swego.

P. Jan Dybowski szczerze umiłował obrany zawód. Mimo, że nie ma wyżej nad lat dwadzieścia cztery, od lat trzech jest już profesorem ogrodniczego wydziału w szkole agronomicznej w Grignau. Miłość pracy i surowe poczucie obowiązku, młody nasz ziomek wyniósł z domu czcigodnych rodziców, zarówno jak i dwaj starsi jego bracia. Jeden z nich Aleksander, wysoko uzdolniony chemik, jest profesorem w Marsylii, przed laty kilku powołany z innymi do Japonii, wykładał chemią w Yeddo. Drugi brat Ksawery, zajmuje wyższą posadę przy paryzkim ogrodzie aklimatyzacyjnym. Zacna ich siostra, poświęciła się również nauczycielstwu. Słowem rodzina cała, przynosi nam prawdziwą chlubę.

Przystąpmy teraz do wykładu p. Jana Dybowskiego. W dziesięciu lekcyach, na które co sobota zbierało się liczne grono słuchaczy, profesor umiał połączyć żywotność młodzieńczą z wytrawnością i powagą dojrzałego pedagoga, od dawna przywykłego do katedry. Obznajmiony dokładnie z przedmiotem swoim, przedstawiał rzecz w treściwy i rożnostronny sposób. W dwóch czy trzech pierwszych lekcyach, wskazał główne zasady botaniki, z kolei w kilku rysach skreślił historyą i stopniowy rozwój sztuki ogrodniczej, przechodząc wreszcie na pole praktyczne, uczył jakich prawideł trzymać się należy w zakładaniu pomniejszych ogrodów, jak korzystać z szczupłego miejsca, aby przyjemność złączyć razem z pożytkiem. Ostatnią lekcyą poświęcił wyłącznie uprawie kwiatów pokojowych.

Z pomiędzy tych lekcyi przytaczamy nasamprzód w treści jednę, w której profesor kreśli historyczny rozwój ogrodnictwa, od czasów najdawniejszych do dzisiejszej epoki.

Ogród, mówi p. D. wywiera wielki wpływ na umysł człowieka. Nieobliczone z niego wypływają korzyści, uprzyjemnia bowiem domowe życie nasze, a im więcej dom przedstawia nam powabu, tem chętniej w nim przebywamy.

W pierwotnym stanie cywilizacyi, kiedy ludy prowadziły jeszcze życie koczownicze, szukając dla siebie stałych ognisk, nie mogło być mowy o ogrodach. Później dopiero gdy ludzie osiedliwszy się w miejscu, pobudowali sobie domy, przyszło im na myśl otaczać siedziby swoje sadami, te jednak zrazu, miały za jedyny cel pożyteczność, dostarczały raczej pokarmu, niż stanowiły ozdobę. Liczba ich nadzwyczaj była ograniczona, posiadali je tylko naczelnicy pokoleń. W Rzymie i Grecyi sami tylko zwierzchnicy mieli własne ogrody. Było to poprostu zbiorowisko drzew i pomieszanych roślin, sadzonych rzędem bez obmyślanego planu, w doborze ich osobliwość stanowiła główną zaletę, bez względu na prawa piękności. Ta metoda przetrwała wieki średnie.

Za Franciszka I-go, Walezyusza, ogrody zaczęły mnożyć się we Francyi i przybierać coraz milszy dla oka pozór. Do tej epoki należy park przy królewskim pałacu w Fontainebleau. Widać tu jeszcze niejaki ślad pierwotnego smaku. Drzewa obcinano sztucznie, nadawano im dziwne kształty, podobne niekiedy do zwierząt, przypominające nawet ludzką postać.

Pod panowaniem Henryka IV, ogrodnik królewski Klaudyusz Mallet, ustanowił dla ogrodów harmonijniejsze prawidła. W kilkadziesiąt lat potem, wystąpił na widownię słynny Le Notre. Był on malarzem nim został ogrodnikiem, stąd miał wysoko wyrobiony smak artystyczny. Jemu to Paryż zawdzięcza celniejsze swe ogrody. Idea całości widoczna w ich układzie. Ale największym tryumfem Le Notra, pozostał park wersalski. Umiał artysta odczuć piękną przyrodę i korzystać z niej w najwłaściwszy sposób. Zamiast grubego muru jakim dotąd opasywano ogrody, on pierwszy wprowadził żelazne sztachety, nie zasłaniające widoków.

Park Wersalski nie odpowiada zapewne dzisiejszym pojęciom o warunkach prawdziwego piękna, te trawniki i rabaty wyciągnięte pod prostą linią, owe przystrzygane szpalery nadają mu zimny i sztywny pozór. Przyroda skrępowana tu niewolniczo, poddana całkiem pod prawa sztuki.

Ale pamiętajmy, że ogród ten powstał w epoce wszechwładnego klasycyzmu, musiał więc nosić piętno smaku panującego w czasie. Wszystko sztucznem było w wieku siedmnastym, zacząwszy od architektury pałacu, od pompy dworu Ludwika XIV, aż do olbrzymich peruk piętrzących się na głowach dostojników, do potwornych rogowek pań dworskich. Wielka też zasługa Le Notra,

że zharmonizował ogród z duchem epoki i uczynił go najwymowniejszym jej wyrazem.

Wersalski ogród stał się typem *ogrodu francuzkiego*, naśladowano go we wszystkich krajach Europy. Metoda Le Notra polegała głównie na tem, aby szpalery ciągnęły się po bokach, w kierunku prostopadłym do pałacu, aby środkowa przestrzeń pomiędzy niemi zasłana była kobiercem barwnych kwiatów, aby posągi umiejętnie rozrzucone, nie raziły zbytnim nawałem, wreszcie aby oko ogarnąć mogło tu i owdzie daleką perspektywę.

Jednostajność ta raziła smak poetów. Od dawna już Tasso a po nim Milton, wyrzekli pierwsi, że przyroda musi być wolną, aby przedstawić się w całem swem bogactwie i piękności. Głos ich długo był głosem wołającego na puszczy, w końcu jednak ogół przyznał mu słuszność. Słowa poetów znalazły naprzód oddźwięk w Anglii. Stworzono tam nowy rodzaj ogrodów, wiernie naśladujących przyrodę, zwanych *pejzażowemi*. Moda ich rozeszła się po świecie wkrótce zawitała nawet i do Francyi. Według tej metody założono pod Paryżem ogromny park, sławny lasek buloński.

Dziwna zaprawdę loiczność w objawach ducha ludzkiego! Anglia wydała Szekspira, którego potężny geniusz nie mógł ścierpieć więzów klasycznych, a wydała go wówczas, gdy pęta szkolne krępowały poetów na całej przestrzeni Europy! Anglia też stworzyła malownicze ogrody, pozwoliła rosnąć w nich swobodnie wiązom i bukom, wówczas, kiedy za śladem Francyi, na całym obszarze stałego lądu, przystrzygano konary drzew, wyciskano z nich soki żywotne, naginając je do formy konwencyonalnej.

Kiedy w literaturze francuzkiej, romantyzm przemógł nad szkolnym klasycyzmem, smak do angielskich ogrodów, zaczął się tu coraz bardziej rozpowszechniać. Najpiękniejszym objawem tego rodzaju, jest niewątpliwie park Chaumont, założony za czasów drugiego cesarstwa, w miejscu gdzie niegdyś ze wzgórza Montfamon ohydna szubienica sterczała nad Paryżem, nim ją zastąpiono straszniejszą jeszcze gilotyną!

(D. n.)

Czemże to życie?

Pierwszych życia tajemnic przedarłszy zasłony,
Uśmiecha się do świata pączek rozbudzony,
Zorze dnia pogodnego do koła widnieją,
Czemże to życie?... nadzieją.

Nad kwiatem już rozkwitłym skwar zawisł południa,
Co mu liście rozpala i oddech utrudnia,
I żądz nienasyconych ogarnia płomieniem,
Czemże to życie?... pragnieniem.

W ostatnim blasku słońca kwiat skąpał twarz bladą,
Zanim go szrony zwarzą i wichry zamiotą,
Czemże to życie?... tęsknotą.

Potem śnieżne tumany, grób jego zasieją,
I wieńcem mu lodowym mogiłę oplotą,
Czemże to życie?... nadzieją.

Emilia.

W Radoszewicach.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Wacha Stanisław zastał w jak najlepszym usposobieniu. Powitał go z radością widząc wchodzącego.

— Miałem właśnie iść do ciebie — zawołał — gdyż wzruszony jestem do głębi mej duszy. Horyzont coraz jaśniej się przedstawia, błąkają się jeszcze po nim chmurki powątpiewania, wahania, pewnych nieporozumień i wątpliwości, ale wszystko to drobne zawady. Jedno słówko z ogniska wspólnej miłości rzucone, rozprasza je bez śladu.

Młodzi przyjaciele długo z sobą rozmawiali. Wnioski, przypuszczenia jak zręczna prządka snuli z serca swego, w nitki jej wplatali coraz barwniejsze obrazy i stroili w nie czoła swe jak szermierze pewni zwycięstwa. Gdy Stanisław zrobił wzmiankę o spotkaniu się z Jadwigą i scenie tragicznej jaką mu przedstawiła, objawiając przytem pewne obawy i troskę, Wach wypytawszy się szczegółowo, rozważywszy, porównawszy, machnął ręką mówiąc:

— Bądź spokojny, cokolwiek się dzieje nic nie uchodzi naszej uwagi. Tajemnica, którą zna już waryatka, nie jest tajemnicą.

Pan Mateusz jednak Stroński innego był zdania. Do wypadku tego nie przywiązywał takiego znaczenia, jakie mu chciał nadać Stanisław, ale uznał w nim pewną ważność.

— Waryatka wprawdzie — rzekł — jest tylko waryatką, plecie niestworzone rzeczy z własnej snute wyobraźni, według plątaniny słabej swej umysłowości, ale bądź co bądź, to co ją w tym kierunku poruszyło, co myślom jej nadało bieg taki a nie inny, musi być na prawdzie oparte. Z całej jej mowy, jedno tylko dla mnie zrozumiałe: strzeż się! Bądź więc bacznym na wszystko i rzeczywiście: strzeż się! ale nie tego co przypuszczasz, tylko tego co wyłącznie samego ciebie dotyczy.

Uwaga ta uderzyła Stanisława. Z wyrazem strzeż się! przemknęła się mu w myśli ukochana i miłość dla niej, którą tak troskliwie pielęgnował. Czyż miałby się jej strzedz? Jakimże sposobem od niej miało mu grozić niebezpieczeństwo, od niej której nawet nie wyznał uczuć swoich i obwarował je najzupełniejszem milczeniem, nie zwierzając się przed nikim, nawet przed p. Mateuszem i Wachem, posiadających najzupełniejsze jego zaufanie?

Takiemi kłopocząc się myślami, po południu jak zwykle poszedł na lekcyą do pani Kraworskiej. Stasia przyjęła go z największa życzliwością bez żadnej zmiany zwykłego z nim postępowania. Powitała uprzejmie i składając ceremonialny ukłon rzekła:

— Tak to lubię, kiedy pan Stroński choć minutkę przyspiesza termin swego przyjścia. Dla mnie nawet minutka ma wielkie znaczenie, bo i w minucie jednej można się wiele nauczyć.

— Niezawodnie — odrzekł Stanisław wpatrując się z zachwytem w ukochaną dzieweczkę — zwłaszcza gdy się ma taką jak pani uczenicę...

— Nudną i naprzykrzoną—domówiła Stasia.— Ale to już taka moja niegodziwa natura, że czego pragnę to już całą duszą, czego pożądam, choćby tęczy z nieba, a musi się stawić na moje usługi.

Stanisław chciał odpowiedzieć, ale radby zostać tą tęczą powolną na jej zawołanie, ale pani Kraworska dała znak umówiony. Przystąpili więc do lekcyi, często zbaczała od głównego przedmiotu, ciotka poruszała się niespokojnie, spoglądała na Stasię, chrząkała ale daremnie. Po ukończeniu też lekcyi połajała ją za roztrzepanie.

— Byłaś dziś niezwykłą trzpiotką moja Stasiu kochana — rzekła — a trzpiotoctwo to wada źle panienki znamionująca. Świat sądzi z pozoru...

— Ah! cioteczko, wiem to dobrze — przerwała Stasia, — a ten pozór, o którym tak mi każesz pamiętać, to zawsze mi się przedstawia w postaci stróża więziennego, kującego ludzi w kajdany. Dlaczego ma być źle prawdą jaśnieć, zupełnie tego nie pojmuję.

— Przyzwoitość moje dziecko, wymagania świata...

— Cóż to szkodzić może — przerwała Stasia z nadąsaną minką — że pragnę nie rumienić się nieświadomością, nieuctwem i prostotą w tem co świat za mądrość uważa? Wszak prawda panie Stroński że mam słuszność za sobą?

Stanisław w kwestyi potrącającej o pedagogią, nią tylko powodowany, odrzekł jako pedagog:

— Nauki wznioślejszy cel jak pokrywanie nieuctwa blichtrem wykształcenia. Służba takiej nauce to czysto ludzka dla świata i jego pochwały. Cel Boży nauki to podnoszenie człowieka w jego godności, której pani oddajesz pierwszeństwo, czy nauce ludzkiej czy Bożej zostawiam jej własnemu sądowi.

— A zatem zgoda! — z lekką chmurką niechęci zawołała Stasia. — Niechże lekcye nasze będą nauką Bożą, a pogadanki po niej nauką ludzką. Wszyscy będziemy zadowoleni i nikt się skarżyć nie będzie miał prawa. A teraz chodźmy do ogrodu, pokażę panu wszystkich moich ulubieńców, kwiatki ukochane.

Przeszli wszyscy do ogródka.

Stasia oprowadzając Stanisława pomiędzy grzędami pokazując w całym rozkwicie astry i gieorginie, szczebiotała ciągle.

— Już niedługo tej uciechy z memi lubemi kwiatkami, mówiła przechodząc od krzewu do krzewu. Jesień zniszczy ich barwę, zwarzy listki, poschyla główki... na samą myśl tego spodziewanego zniszczenia smutek mnie przejmuje. Nie wiem dlaczego, ale gdy patrzę na kwiatek uwiędły przed czasem, ubolewam nad nim z rzewnem jakiemś uczuciem i czuje łzy w oczach jakbym sama nad sobą płakała. Czy kwiatki mają w sobie co ludzkiego, że mogą tak na mnie oddziaływać?

— Twór to ziemi, panno Stanisławo — odrzekł Stanisław a i człowiek jest jej równie utworem. Któż odgadnie jakie ogniwo łączy kwiat z człowiekiem?

— Prawda, prawda. Zawiła to kwestya, mimowoli jednak przychodzi uwaga, czy współczucie moje dla doli kwiatka, nie jest czasem jakiemś dziwnem przeczuciem własnej doli?

Stanisław drgnął, Stasia stała przy kwiatkach, z główką trochę pochyloną i rączkami złożonemi.

— Cóż też pani za przypuszczenia ponure — zawołał Stanisław — przychodzą do myśli. Jesteś siostrzycą najpiękniejszych kwiatów ziemi, zarówno duszą swą jak i postawą...

Stasia zdawała się nie słuchać tego co do niej mówił i nachylona ku grządce, zawołała:

— Oto moje najulubieńsze kwiatki, niezapominajki. Patrz pan jakie wabne, choć się kryją w cieniu i świata nie lubią. Kocham je i pielęgnuję rok cały, o! bo to bardzo wymowne istotki. Każdym swym listkiem powiadają, nie zapomnij! A czyż może być co milszego jak to żądanie? Jabym nie przeżyła zapomnienia...

— Czyjego? — zapytał Stanisław.

Stasia zarumieniona nachyliła się nad kępką niezapominajek i zrobiwszy z nich malutki bukiecik odezwała się po chwili:

— Oto podarunek dla pana z moich ulubionych kwiatków, abyś pamiętał o tej, która ciebie nigdy, nigdy nie zapomni.

Stanisław osłupiał, zdało mu się, że wzlatuje nad chmury i z najwyższych szczytów spoglada na ziemię.

Stasia podsunęła się ku altance, skinieniem przywołała go dziwiąc się, iż pozostał w miejscu.

— Cieszy mnie to — zawołała siadając przy ciotce — że pan tak zajęty moim podarunkiem. Teraz wierzę, że nie zostanę zapomnianą, bo muszę ci moja cioteczko przyznać się, że bez twojej wiedzy, udekorowałam pana Strońskiego bukiecikiem niezapominajek, w które tak się zapatrzył, że zapomniał towarzyszyć mi w powrocie od przeglądu moich wychowańców.

Stanisław uśmiechał się, poruszał ustami, spoglądał to na Stasię, to na jej ciotkę, czuł, że mu coś w gardle dusi, ściska w piersi i usta krępuje milczeniem.

Bukiecik trzymał w ręku a nie wiedział co z nim zrobić.

Ciotka spostrzegła to jego zakłopotanie i pierwszy raz domyśliła się, że w tym nauczycielu jej siostrzenicy, choć dość niepozornym a jednak bardzo zdolnym, jest także krew wrząca, zdolna nawet wykipiéć pod spojrzeniami ócz płonących ogniem młodości.

— Panie Stroński — odezwała się z największą obojętnością, jakby słów szczebioczącej Stasi nie usłyszała — panie Stroński, oto kawa, przepraszam, że z małym kożuszkiem, ale świeżo ugotowana a taka przysmakiem tym zalecać się nie może. Cóż pan robił wczoraj? Zapewne używał świątecznego wypoczynku, albo wycieczki za miasto w gronie przyjaciół.

Stanisław ocknął się, oprzytomniał.

— Nie, pani — odrzekł — siedziałem jak zwykle w domu, a nad samym wieczorem spotkało mnie dziwne zdarzenie...

— Cóż takiego? zapytała ciotka ze Stasią.

— Odwiedziła mnie młoda, bardzo jak się zdaje wykształcona i należąca do wyższego towarzystwa waryatka.

— Waryatka! — zawołały obie kobiety, a ciotka dodała z pewną niespokojnością:

— A ona zkąd do pana przywędrowała?

— Nie wiem pani, nazwała się Hetmanówną...

— Ah! cioteczko — wybuchła nagle Stasia, to... Ciotka znacząco na nią spojrzała i dzieweczka nagle umilkła.

— Czy paniom znana jest ta osoba? — zapytał Stanisław.

— Tak... to jest—odrzekła p. Kraworska z pewnem zaniepokojeniem. — Pomieszanie jej jest zupełnie spokojne. Zbytnia egzaltacya przyprowadziła ją do tego stanu. Nieszczęśliwa! boleję nad nią, cóż może być straszniejszego jak strata rozumu.

Stasia wpatrzona w ciotkę spuściła oczy ku robótce skubiąc ją niecierpliwie i zwracając się do Stanisława zapytała:

— I cóż był za powód jej nawiedzin?

— Co ją właściwie do mnie sprowadziło — odrzekł Stanisław — tego nie umiem objaśnić. Jakaś przestroga, abym strzegł się czegoś bez wyraźnego jednak oznaczenia, co jest to co mi niebezpieczeństwem grozi. Przytem zachowywała się jak osoba wysokiego rodu i znaczenia, wyrażała się poprawnie a nawet poetycznie, jakby ustępy brała z jakiegoś zapamiętanego poematu...

— Ah! jakżebym chciała być gdzie ukrytą w kąciku — przerwała Stasia — żeby podsłuchać to co mówiła. Powiadają, że często rozumniej się odzywa jak człowiek niejeden miany za najprzytomniejszego.

— Być może, że tak bywa. Co do mnie w pierwszej chwili, gdy drzwi otworzyła i nie patrząc na mnie przesunęła się przez pokój, wyprostowana z głową dumnie wzniesioną, zdało mi się, że wszedł do mnie duch, legendowa jakaś postać. Wkrótce jednak poznałem, że z waryatką mam spotkanie i to z waryatką niepospolitą, którą i uwielbiać i boleć nad nią należy. Przyniosła mi na kartce wypisane nazwisko moje i numer mieszkania, powiadając, że zgubiła ją jakaś pani przy powozie z liberyą, której nazwiska nie wymieniła i nazwała ją żmiją z żądłem ostrem i śmiertelnie raniącem.

— Ah! — zawołała pani Kraworska z takim przestrachem, że Stasia przysunęła się do niej z zapytaniem, co się jej stało, czy przypadkiem nie zasłabła?

— Nic mi nie jest — odrzekła ciotka — bądź spokojną moje dziecko. To atak migreny, jakieś uderzenie do głowy... ale mi już lepiej...

— Tak się przestraszyłam — mówiła Stasia — że jeszcze czuję się zaniepokojoną. Może cioteczka położy się na chwilkę?

Pani Kraworska zgodziła się na odpoczynek, posiedzenie nagle przerwane zostało i Stanisław poszedł do domu unosząc z sobą dar Stasi tak dla niego nieoceniony. Przy odejściu pożegnała się z nim z niezmierną serdecznością, wyraziła żal z utraty tak miłego towarzystwa, zastrzegając, że na przyszłą lekcyę musi to wynagrodzić.

Młodzieniec był rozmarzony, praca w domu szła mu z uporem, z niezwykłem roztargnieniem. Czytał a nic nie rozumiał, wstawał, przechadzał się, zamyślał i najdłużej zatrzymywał się przy oknie wpatrując się w mieszkanie zajmowane niegdyś przez Stasię i jej ciotkę.

Cała rodzina nowych mieszkańców, siedziała przy stole, dzieweczka nazwana przez niego faworytką, uczyła się, matka szyła a młodsze dzieciny zabawiały się ustawianiem z kart pałacu.

Stanisław patrząc, dumał. Przypomniał sobie jak pierwszy raz Wach zwrócił jego uwagę na Stasię. Jak był przedtem spokojny, zadowolony, cały oddany nauce i przyszłości.

Spokoju tego nic mu wówczas nie zakłócało, nic nie mąciło, gdy przysunęła mu się ważna kwestya do myśli, mógł ją rozważać bez żadnej przeszkody obrabiać, wyjaśniać...

Teraz wszystko to minęło, wszystko osłonił jeden obraz... Stasi. Z pod niego wszystko inne spoglądało niewyraźnie jak we mgle, jak w dalekim krajobrazie w którym cień trudno odróżnić od przedmiotu. Gdziekolwiek zwrócił oczy zdała mu się, że ją widzi, jej kibić wysmukłą, oczy jaśniejące i uśmiechnięte usta, gdy mu podawała bukiecik z prośbą o pamięć. Gdy go doszedł głos jakiś, szmer niewyraźny, brał go za szczebiot dziewczęcia, za słówka niewyraźnie szeptane, lotne jak błyskawica i jak ona na wskroś go olśniewające.

— To czary, istne czary! — myślał sobie. — Człowiek zostaje zerem a myśl nicością. Istota ludzka skuta ich potęgą darmo szamocze się i dławi, aby z więzów wyrwać się do dawnej swobody. Próżne usiłowania. Czar wszędzie przy niej stoi, nie opuszcza jej, wciska się, wpina...

— A jednak — dumał dalej Stanisław — jest to szczęście... Nie szukałem go! Życie moje jak wartki potok zatrzymało się przy podnóżu skały i oblewa jej stopy. Witaj mi najdroższa, ty jutrzenko przyszłości, zwiastunko nowego świata którego dotąd nie znałem. Przy tobie, ziemia siedliskiem Bożem, krzepiącą krynicą wśród spiekłej pustyni, cieniem w słonecznym żarze południa. Twój duch będzie mi stróżem na bezdrożu, pociechą w smutku, ukojeniem w boleści.

Wtem, w mieszkanku naprzeciwko, powstał jakiś ruch... pałac z kart z takim mozołem stawiany, runął a dziatwa na gruzy jego patrząc z głośnym śmiechem w rączki zaklaskała.

Stanisław odwrócił się z niechęcią i zaczął się niespokojnie przechadzać po pokoju.

Północ dochodziła, zegar zamkowy zaczął wybijać godzinę dwunastą, wolno, majestatycznie, jakby w pochodzie tłumów do świata umarłych. Wśród jego dźwięku, z głębokich czeluści, z pod mogiły wieków, podniósł się jęk boleści. Wzmagając się to przyciszając, czasem kwilił dziecięcia głosem, drżał niewiast rozpaczą, szamotał męską grozą cierpienia i zlewając się w jeden chór, zdał się być skargą jak grom warczący na uwięzi.

Stanisław stał i słuchał, a gdy z ostatniem uderzeniem zegar umilkł, młodzieniec rzucił się na posłanie i w marzeniu zobaczył roje poczwarnych postaci, wpijających się mu w serce jak gady, szarpiących je, dławiących i pobrzękujących srebrnikami Judasza...

(D. c. n.)

Z NOTATEK PODRÓŻNYCH

przez

L. Szczerbowicza-Wieczora.

(Dalszy ciąg.)

II.

Bogate wspomnienia przeszłości, niezbyt jeszcze oddalonej, urok położenia, czystość wzorowa i średniowieczny pozór bram miejskich i niektórych gmachów sprawiają, że miasto Gdańsk, chociaż od wieków prawie wyłącznie niemieckie, przedstawia się nam sympatycznie i jak gdyby, o ile to nie jest winą wyobraźni, różni się od innych miast pruskich, w dzisiejszem tego ostatniego słowa znaczeniu. Można rzeczpospolita mieszczańska, z radością wyłamawszy się w połowie XV-go stulecia z pod opieki krzyżackiej, wiernie i stale hołdowała Polsce, opierając się nieraz czynnie jej nieprzyjaciołom, jak my za czasów Jana Kazimierza, pod Stanisławem Leszczyńskim, a po raz ostatni, niezbyt jeszcze dawno, bo przy końcu ubiegłego i na początku bieżącego stulecia walcząc zbrojnie, (któżby to dziś mógł pomyśléć?) przeciwko królom pruskim i przyłączeniu do monarchii Hohenzol-

lernów, rozpierających się tu teraz wszechwładnie, z wiarą w nieskruszoną potęgę i wieczność swego panowania.

Gdańsk bił monetę, z popiersiem króla polskiego i płacił do skarbu rzeczypospolitej część dochodu z ceł; dla dopilnowania zaś tej zależności mieszkał tu dygnitarz koronny — kasztelan gdański. Do Gdańska spławiała niegdyś nasza szlachta złotą pszenicę (jeździł tu ze zbożem sam poeta Klonowicz), zaopatrując się natomiast w towary zagraniczne, wina gdańskie, zegary i słynne wyroby ślusarskie, wreszcie w wódeczkę gdańską. Tu na tym wolnym gruncie, przemieszkiwała częstokroć znaczna ilość panów i szlachty polskiej unikając pożaru wojny domowej, walki stronnictw i obcej przemocy.

Dziś po tem wszystkiem zostały tylko wspomnienia i ślady badzo drobne. Tu i owdzie, w ratuszu i na bramach miejskich obok orłów czarnych pruskich, przechowały się białe orzełki; zostało kilka pamiątek, a dzisiejszy Gdańszczanin wspomni jeszcze czasem w rozmowie, że pod opieką Polski, Gdańsk był bogatym i potężnym; oto i wszystkie ślady przeszłości.

Szlachta polska dziś tu już nie mieszka i mowy polskiej nie słychać, chyba niekiedy dźwięki narzecza nielicznych Kaszubów, chociaż wielu nawet Niemców zna i rozumie nasz język. Zboże polskie płynie i dziś jeszcze do Gdańska, ale czynność tę załatwiają i bogacą się nią wyłącznie dzieci Izraela... Prawda, jest i dziś jeszcze kasztelan gdański, ale to tylko woźny ratusza, który za dwa złote tryngeltu pokazuje osobliwości tego gmachu, klepiąc przy tem stereotypowe, częstokroć mylne objaśnienia. Wódeczka gdańska istnieje dziś jeszcze pod nazwą „Gold wasser”, ale mówią że, pozostało jej już tylko to miano.

Prawdziwie średniowiecznych domów, zresztą nie sięgających po za wiek XV, w Gdańsku niewiele, niektóre tylko gmachy na szerokiej i pięknej ulicy głównej, zwanej Langemarkt, a w przedłużeniu swem Langegasse, równie jak i przy kilku ulicach sąsiednich, w stylu renesansu i późnego gotyku, z rozległemi gankami i podsieniami, niepozostawiającemi miejsca na chodniki, mają piętno niezaprzeczenie starożytne. Szczególniej uderza każdego przybysza olbrzymi i wysoki budynek przy ulicy Frauengasse, w którym obecnie mieści się obserwatoryum.

Kościoły, wszystkie starożytne nie celują jednak pięknością architektury. Cztery z tych świątyń pozostały dotąd katolickiemi, lecz mało przedstawiają ciekawego. Najokazalszym i pełnym ciekawości jest kościół parafialny Panny Maryi, dziś protestancki, świadek zatargów i zaburzeń w epoce reformacyi za Zygmunta I-go. Rozmiary tego gmachu są olbrzymie, szczególniej obudzają podziw olbrzymie okna o setkach szyb drobnych. Styl późny gotycki (XV go wieku); szkoda tylko, że wokoło kościoła skupione są ze wszystkich stron domy, tak że z żadnej strony gmach ten nie przedstawia się oku w całości. Zwiedzanie tego zabytku praktyczni Gdańszczanie uczynili operacyą handlową, w przyległych sklepikach sprzedają bilety po pół marki od osoby; następnie zakrystyan kościoła wizuje te kartki i posyła swą córkę z pękiem kluczy. Niewieści ten cicerone (niezbyt powabny) pokazuje wszystkie osobliwości. Wnętrze o rozmiarach imponujących, przedstawia się w stanie opuszczenia, blizkim ruiny; o odnowieniu snadź dziś nie myślą potomkowie tych, którzy ten gmach dźwignęli i przyozdobili tak kosztownemi urządzeniami, jak np. olbrzymia chrzcielnica bronzowa, otoczona takąż kratą, wyrobu amsterdamskiego z wieku XVI-go. Mnóstwo tu kaplic, a w nich zostało jeszcze z czasów katolickich nieco obrazów i posągów.

Z tych najdawniejsze, bo z XIII, XIV i XV wieku pochodzące, zawierają kaplice św. Reinholda i 11 tysięcy dziewic. W pierwszej są stare rzeźby drewniane, w drugiej olbrzymi krucyfiks z XV wieku, mistrzowskiej roboty. Kaplica 11 tysięcy dziewic niewielka; jeden więc ze zwiedzających rzucił żartobliwe pytanie, gdzie podziały się dziewice?

— Musiały wynieść się — rzekł drugi żartowniś — bo widocznie było tu im za ciasno.

— No, ale my tu mamy dziewicę — dodał z galanteryą pierwszy, zwracając się do przewodniczki— która starczy za owe jedenaście tysięcy.

Poczciwa Niemiecka, mało zapewne przyzwyczajona do podobnych wyszukanych komplementów, podziękowała wdzięcznym uśmiechem, który nawet dodał jej powabu.

Jest tu także olbrzymi zegar astronomiczny, oddawna nie idący, gdyż, jak niesie tradycya, nikt nie był w stanie go nakręcić, od czasu jak twórca tego zegara wzrok stracił.

W skarbcu są starożytne mszały i naczynia kościelne, z XIV i XV wieku. Za najcenniejszy zabytek uważają Gdańszczanie obraz sądu ostatecznego, podzielony na trzy części: raj, piekło i czyściec, wymalowany przez Memlinga, Gdańszczanina, około roku 1470. Kosztowny i cenny ten obraz posiada swą historyą: przeznaczony był początkowo do Florencyi, ale gdy go tam wieziono porwany został na morzu przez piratów, następnie odebrany przez marynarzy gdańskich i do Gdańska przywieziony. W roku 1807 Napoleon kazał zabrać to arcydzieło do Paryża, zkąd je Prusacy w r. 1815 odebrali, ale musieli pozostawić w Gdańsku, gdyż mieszczanie nie chcieli go sprzedać królowi pruskiemu za 100 tysięcy talarów.

Ratusz gdański pochodzi z XIV wieku, a wysoka na 270 stóp jego wieża dobudowaną została w połowie XVI stulecia. Piękny to budynek w stylu gotyckim surowym, bez ozdób zbytecznych, ma pozór wyniosłego kościoła. Wewnątrz godne widzenia są tylko dwie sale posiedzeń: letnia i zimowa, a w tych makaty i krzesła jeszcze z XV wieku, pięknie rzeźbione sufity (są tam także dotychczas i herby polskie) i kilka pomniejszych pamiątek.

Obok ratusza znajduje się tak zwany Artushof, budynek z XV wieku, którego front przypomina nieco Sukiennice krakowskie przed ich odnowieniem. Artushof, także odnowiony, wygląda dziś świeżo i błyszcząco, ze swemi złoconemi płaskorzeźbami i medalionami, przedstawiającemi cesarza Karola V i jego syna Don Juana. Wewnątrz sala giełdy zbożowej, którą może każdy zwiedzać bezpłatnie, ozdobiona mnóstwem malowideł i rzeźb i zawierająca wiele pamiątek rozmaitej artystycznej wartości. Z tych zabytków najciekawsze są: grupa Akteona, przedstawiająca dziwną mieszaninę malowidła z rzeźbą i płaskorzeźbą, posążek króla Kazimierza (Wielkiego?), statua marmurowa Augusta III, Orfeusz, olbrzymi piec fajansowy, 38 stóp wysokości, z XVII wieku, obraz sądu ostatecznego, pędzla Moellera (1602 r.) i t. d. Dziś na stołach rozstawione są tu próbki żyta, pszenicy, grochu i t. d. z oznaczeniem cen tych produktów.

Nakoniec godnem widzenia jest muzeum miejskie, znajdujące się w dawnym klasztorze franciszkańskim, słynnym z walk w czasie reformacyi, a zachowanym i utrzymanym doskonale.

Już sam prześliczny ten gmach, na początku wieku XVI w stylu gotyckim wzniesiony, ze swemi sklepieniami, krużgankami i kurytarzami, jest zabytkiem ciekawym i widzenia godnym. W muzeum najwięcej starożytności wyłącznie gdańskich jako to: posągi z drzewa, stare obrazy, szkoły jeszcze bizantyjskiej, złocone, pyszne wyroby ślusarskie, szyby kolorowe, dawna broń i t. d.

Pamiątki nowsze są, niestety, prawie wyłącznie charakteru militarnego: portrety i posągi jenerałów pruskich, obrazy przedstawiające potyczki i t. d.

W oddziale odlewów gipsowych są kopie wszystkich prawie głośniejszych zabytków klasycznej rzeźby greckiej. W galeryi obrazów jest wiele portretów rozmaitych rajców gdańskich, których cała zasługa w tem, że byli rajcami, jeden tylko portret króla polskiego Augusta II i kilka obrazów nowszych, wcale dobrego pędzla. Tu także, na żądanie, pokazują zbiór dawnych sztychów i dzieła illustrowane, niemieckie i włoskie, z XVI i XVII wieku.

W porze letniej chodniki ulicy Longemarkt zasypane są kwiatami — w tak wielkiej ilości wystawiają powabny ten towar na sprzedaż, co przedstawia bardzo miły widok dla oka. Wogóle Gdańsk — miasto sympatyczne i przyjemne, chociaż więcej tu myślą o pracy niż o uciechach i hałaśliwych rozrywkach. A i ludziska tu jakoś dobroduszni i uprzejmi — znać typ odmienny od zuchwałego berlińskiego lub wrocławskiego prusaka. Przebijają jednak niekiedy i tutaj naleciałości grubijaństwa pruskiego. Tak np. gdy jednemu z podróżnych naszych, podano w restauracyi potrawę tak słoną i pieprzną, że do ust wziąć jej nie było można i gdy gość zażądał innej porcyi, pan restaurator wymagał zapłaty za pierwszą a otrzymawszy odmowę, najspokojniej zabrał gościowi laskę. Stróż porządku publicznego, na skargę gościa objaśnił, że restaurator miał prawo zaaresztować laskę, skoro ta stała w kącie; nie mógłby jej tylko wyrwać z rąk gościowi ani też zabrać coś takiego, co miał na sobie (np. palto), gdyż według praw pruskich niewolno tylko dotykać się osoby (sich an die Person vergriffen). Nie było więc co robić i trzeba było laskę wykupić z niewoli... Przestroga dla cudzoziemców, aby w zakładach publicznych swoich rzeczy nie stawiali ani nie wieszali, lecz wszystko mieli przy sobie; zarazem dziwne, w państwie tak porządnem i niby konstytucyjnem, uprawnienie samowoli, gdzieindziej potępionej przez prawo.

Na zakończenie dodam, że pobyt w Gdańsku nie jest tani, tak że złote 20 markówki i 10 markówki (papierów tu nie ma w obiegu, tylko złoto i srebro) znikają szybko. Najdroższym, chociaż najwygodniejszym, jest Hotel du Nord; Polacy lubią stawać w tańszym hotelu pod trzema murzynami (Drei Mohren). Jednakże na mocy niejednokrotnego przykrego doświadczenia, radzę podróżnikom, ażeby zbyt nie dbali o oszczędność za granicą i obierali raczej zawsze pierwszorzędne, choć droższe hotele, gdyż w tańszych nietylko, że częstokroć wszystko w rzeczywistości wypadnie czasem drożej, ale i wygody mniej, a nieraz przykrości i grubijaństwa poddostatkiem, zwłaszcza w Niemczech, gdzie nie są zbyt grzeczni dla cudzoziemców, szczególniej Słowian. Nienawiść bo-

wiem szczepowa Niemców ku Słowianom jest obecnie bardzo i bardzo rozpowszechnioną, jak o tem ze zdumieniem przekonałem się nieraz.

(*D. c. n.*)

Przegląd Teatralny.

Dwa światy, dramat w 5-ciu aktach *Feuillet'a*.

Z pomiędzy nowości z jakiemi w ubiegłym tygodniu wystąpiły wszystkie trzy nasze teatra, dramat Feuillet'a „Dwa światy” noszący w oryginale tytuł: *La belle au bois dormant*, jako utwór literacki, pierwsze bez zaprzeczenia trzyma miejsce. Nie możemy powiedzieć, że jako utwór dramatyczny, zbyt mało bowiem jest w nim prawdy życiowej tembardziej w obecnej chwili, w której od napisania tego dramatu, więcej niż lat dwadzieścia temu, wiele się zmieniło w stosunkach i przekonaniach stronnictw przez autora na scenę wyprowadzonych. Nawet i w owym czasie, chyba w jakimciś zamierzchłym zakątku Bretanii, gdzie rzecz się odbywa, jako rzadki wyjątek, podobnie krańcowe wyobrażenia i przekonania istnieć mogły. Autor stawia naprzeciw siebie dwa obozy, dwa światy, arystokratyczny i demokratyczny, z ich przesądami, uprzedzeniami i niezłomnym uporem. Główne jednak osoby, jakkolwiek fanatycznie do swych zasad przywiązane przedstawiają same charaktery dodatnie, które pomimo wrzących namiętności, w licznych i różnorodnych kolizyach, szlachetnie tylko postępują, aż w końcu miłość doprowadza je do rzucenia się we wzajemne objęcia. Widzimy więc z tego, że cały ten utwór przedstawia bardziej szlachetne dążności i życzenia autora, aniżeli obraz z realnego życia wzięty. Jednakże ponieważ napisany jest ślicznie i na wskróś poetycznym duchem owiany, z przyjemnością się słucha i miłe czyni wrażenie.

Akcya dramatu w następny sposób się rozwija. Reprezentantem arystokracyi są głównie: młody margrabia Guy-Chatel, ostatni potomek jednej z najdawniejszych rodzin bretońskich obecnie zubożały, i siostra jego Blanka, młoda dziewica cudnej piękności. Za małe już mając dochody ażeby utrzymać świetność stanowiska, zanadto dumni ażeby z tem się wydać, zupełnie usunęli się od świata i żyją samotnie w starożytnym zamku swych przodków, wśród odwiecznych lasów, prawie nie chcąc wiedzieć co się dzieje po za granicami ich szczupłej posiadłości; on oddany polowaniu i dogadzaniu siostrze, ona modlitwie, poetycznym marzeniom i dobrym uczynkom, które ją rodzajem aureoli w oczach okolicznych wieśniaków otaczają.

W pobliżu zamku świat inny, kipiący życiem czynu i pracy: kopalnie i huty żelazne są własnością Jerzego Morela, wnuka dawnego sługi zamku. Jest on przedstawicielem postępu i demokracyi, równie jak i jego siostra Ludwika, dzielna i energiczna dziewczyna, która mu czynnie w pracy dopomaga. Tysiące robotników chleb i opiekę u nich znajduje, a w ich przemyślnych rękach majątek szybko rośnie.

Tymczasem resztki mienia Guy-Chatelów topnieją w rękach margrabiego nie dbającego o realną stronę życia, zatopionego w bohaterskich wspomnieniach świetnej przeszłości. Długi przewyższają wartość majątku. Jerzy chciałby ich ratować, bo ma szacunek dla tej rodziny, a Blankę od dzieciństwa kocha skrycie.

Proponuje margrabiemu spółkę, ale ten na myśl pracy dla szlachcica niestosownej i spółki z parweniuszem, z pogardą ją odrzuca. Jerzy skupuje wszystkie weksle Guy-Chatela, chcąc tym sposobem choć część tego majątku uratować, płacąc za niego więcej aniżeli by z publicznej sprzedaży otrzymać mogli, pod pretekstem, że na tej ziemi znajduje się ruda żelazna dla niego wielką cenę mająca. Jednakże margrabia i na to się nie zgadza, niechcąc z plebejuszem nic mieć do czynienia. Raczej pozwala się wywłaszczyć, dla siostry znajduje schronienie w klasztorze przez jego przodków fundowanym, a sam osiada w pustej wieży na skraju lasu, która mu jedna pozostała.

W tych starciach między przedstawicielami dwóch stronnictw, dwóch światów, autor wykazał doskonale różnice w pojęciach i postępowaniu mężczyzn i kobiet. Pierwsi dyskutują bez gwałtowności, na podstawie zasad swych i przekonań, kobiety przeciwnie, Blanka pomimo najlepszego serca i uczuć religijnych arystokratycznie pogardza parweniuszami, Ludwika z całą namiętnością arystokratów nienawidzi.

Po usunięciu się z zamku odwiecznych jego dziedziców, zjawia się stary żebrak Hael, fanatycznie do byłych swych panów przywiązany, wciąga Morela w zasadzkę i nie znając pobudek jego czynu, a nie mogąc wymódz na nim ażeby zwrócił dziedzictwo Guy-Chatelom, którzyby zresztą go nie przyjęli pod żadną formą, już ma go zastrzelić, gdy zjawia się Blanka o jego zamiarze uprzedzona i niedopuszcza spełnienia zbrodni. Dramatyczność sceny wyrywa obu młodym wzajemne wyznanie tajonej miłości, lecz brat wyzywa na pojedynek zuchwałego plebejusza, który śmiał podnieść oczy na prawnuczkę rycerzy krzyżowych.

Ludwika dowiedziawszy się o pojedynku, a namiętnie do brata przywiązana, przekonana, że w nim zginie, podburza robotników fabryki i namawia ich, aby napad na wieżę uczynili. Ale po ich hałaśliwem odejściu przechodzi chwila opamiętania, pomimo nocy pędzi przez lasy do wieży, uprzedza rozwścieczonych robotników i ostrzega margrabiego błagając go, aby uciekał. Ale żaden z Guy-Chatelów wobec niebezpieczeństwa w ucieczce nie szukał ratunku. Rozwścieczeni robotnicy drzwi wyłamują, wpadają, lecz wraz z nimi wpada i Jerzy, który ich powstrzymuje. Pojedynek staje się niemożebny, bo margrabia nie podniesie broni na tego co mu życie ocalił.

Czas upływa, Blanka ma już przyjąć święcenia zakonne, Jerzemu obrzydła praca, obrzydło życie. Zwierza się swemu przyjacielowi z postanowieniem samobójstwa, oddając mu do przechowania testament. Ludwika oddawna zaniepokojona jego stanem, śledzi go i wie, że wykona co postanowił. Jedna tylko Blanka może go uratować, ale czy będzie mogła widzieć się z nią w klasztorze. Spieszy więc do margrabiego i razem z nim udaje się do klasztoru. Blanka po długiem wahaniu nie może się oprzeć jej rozpaczliwym błaganiom i zjawia się w fabryce, właśnie w chwili, gdy Jerzy każe puścić w ruch machinę parową, aby pod jej koła się rzucić. Rzecz kończy się, jak można się domyśleć, połączeniem par młodych, bo wśród tych przejść dramatycznych i w drugiej parze czulsze zrodziło się uczucie.

Sztuka wystawioną była z całą możliwą starannością.

Główne role, Ludwiki i Blanki przez panie Ładnowską i Wisnowską, a margrabiego i przez pp. Prażmowskiego i Ładnowskiego, znakomicie były grane. P. Rapacki, jak zwykle, małą rolę Haela zdołał na pierwszy plan wysunąć wyborną grą swoją i charakterystyką w której tak celuje. Inne role równie starannie były odegrane.

Hieronim Kuczalski.

Pogadanka.

Nieprzypominam już sobie, co Mojżesz kazał zrobić z czcicielami złotego cielca, ale to pewna, że kara musiała być bardzo łagodna, gdyż kult ten do dziś dnia istnieje. Sztuka lekarska co dnia nowemi chlubi się zdobyczami — na jedną tylko chorobę nie może nic a nic poradzić. Chorobą tą: gorączka złota. Czego bo to się nie robi dla tego błyskotliwego kruszczu! Tysiączne zabiegi wiodą do upragnionego celu, a jeśli nie można iść drogą uczciwą, to trzeba szukać innej. Skarzymy się co prawda na żydów, że przodują w tym handlarskim pochodzie — ale za to chwalimy Anglików, którzy wolą się narażać na rozpacz Islandczyków aniżeli ustąpić odrobiny złota wyciskanego z nich tysiącznemi gwałtami na najwstrętniejsze nieraz zbytki, z których już nawet słyną na lądzie całe-le świata.

Marzeń o skarbach ukrytych nigdy nie brakowało. Co to warta praca! Da ona człowiekowi kawałek chleba i sen spokojny, lecz nie da złota, dostatków, zbytków i rozkoszy. Gdyby tak jeszcze znaleźć skrzynię złota, choćby przy pomocy kwiatu paproci, lub nawet kuternogiego dyabła, tożtoby dopiero można używać!

Minęły i te czasy, wzięto się do pracy gorliwie, usilnie i przekonano się, że i ona daje nieraz złote owoce. Aż tu nagle dowiadujemy się, że jest jeszcze pewien amator ukrytych skarbów i poszukuje ich w ruinach zamku Chęcińskiego.

Dobrej zabawy, szanowny panie! pomyślałem sobie, potrudzisz się trochę i choć skarbów nie znajdziesz, nauczysz się kopać ziemię a to się może na co przyda. Lecz później jakaś pokusa i we mnie się obudziła. A gdyby to istotnie można takim kosztem stać się bogaczem, mieć złota jak kamieni, choćby brukować niem jaki podwórzec zaczarowanego zamku. Rozsądek przywołał mnie do porządku mówiąc, że od złota nieraz pewniejsze kamienie. Ot w okolicach Nowego Dworu i Ciechanowa, żalili się właściciele ziemscy, że im kamienie psują pola a dziś sprzedają je za dobre pieniądze na budowę fortów. Podobno już jeden z właścicieli zarobił w ten sposób *30,000 rubli!* Ale, myślę sobie, co tam trzydzieści tysięcy, jeśli odkryję skarby, zrobię zupełnie co innego.

Oto nie mniej, ni więcej tylko zostanę — królem. Nie myślcie, że królem w bajce, prawdziwym, najprawdziwszym królem i do tego sąsiadem Włoch. Do uskutecznienia zamiaru potrzebuję tylko, *300,000* rubli, bo za taką cenę można nabyć królestwo na małej wysepce w pobliżu Sardynii. Tak przynajmniej zapewnia jedno z pism francuzkich.

Sprzedającym jest król włoski Humbert, na jwidoczniej nie zazdrosny wcale o swój tytuł, sko-

ro tuż pod bokiem chce mieć jeszcze miniaturowego królika.

Odtąd już spać nie będę spokojnie, dopóki nie urzeczywistnię mego zamiaru. Jadę do Chęcin, szukam skarbu, znajduję go, jadę do Włoch, nabywam królestwo i wtedy dopiero rozpocznę najpiękniejsze dzieło mego żywota. Sprowadzę sobie z kraju sosny i świerki na złość wawrzynom i cyprysom, wybuduję wielki modrzewiowy dwór, konie przystroje w krakowskie chomonta, woźnicę ubiorę w kierezyę i dalejże objeżdżać nowe królestwo. Wracając z objazdu muszę być powitany przez huczną muzykę. Będziem sobie grali krakowiaki, oberki i kujawiaki, aż Włochom z podziwu oczy wylezą na wierzch.

Po załatwieniu spraw domowych wyszlę nadzwyczajnego posła do księżnej Walii, ofiarując się na jej sprzymierzeńca w ważnej sprawie, którą ta dostojna pani jest właśnie zajęta. Oto stanęła ona na czele stowarzyszenia, które wydaje zaciętą wojnę wprowadzeniu w modę krynolin. Sytuacya jest bardzo groźna, królowa moda, której w szczupłej tiurniurze widocznie nie wygodnie, zaczyna powoli cofać się w przeszłość i objawia zbyt widoczną sympatyą dla krynoliny. Dążności takie nie zgodne są z postępem i z duchem czasu, należy się przeto mieć na baczności i w razie potrzeby rozpocząć batalią. Jeśli się sprawy nie uda załatwić na drodze pokojowej, idę na czele mej armii w bój. W zwartych szeregach ruszymy na nieprzyjaciela. Strzelistemi spojrzeniami, jak rotowym ogniem będziemy łamali szeregi, jeśli to nie pomoże, wówczas na dany znak zaczyna kapela rżnąć od ucha mazura — ręczę, że nieprzyjaciółki pójdą z nami w tany i rzecz cała zakończy się dozgonnem przymierzem.

Otóż widzicie, dlaczego moich kochanych mazurów koniecznie mi potrzeba — dzielne to chłopcy, a w potęgę mazura i oberka wierzą bardziej, aniželi w siłę elektryczną. Toż przecie śpiewają:

„Oj umarł Maciek, umarł,
Oj lezy juz na desce,
Oj gdyby mu zagrali,
Oj, potańcyłby jesce!"

A pogadanki kto będzie wówczas pisywał? zapytacie. Ja, szanowne Czytelniczki, ja król włoskiej wyspy, sąsiad śpiewających syren, który nawet na takiej wyżynie nie zapomni o syrenim grodzie i co tygodnia będzie przysełał pogadanki.

W przywidywaniu tak pięknej przyszłości przypominam się pamięci moich czytelniczek. Zbliża się chwila, w której zasiądę do napisania dwudziestej piątej pogadanki — czy nie byłoby rzeczą słuszną wybrać zawczasu komitet urządzający jubileusz...? Skromność nie pozwala mi przemawiać we własnej sprawie, lecz nie wątpię, że w dzień ten uroczysty znajdę kałamarz i pióro uwieńczone kwiatami...

Zanim to wszakże nastąpi, zanim zaprezentuję moich mazurów Włochom i księżniczce Walii, muszę ich nieco poduczyć i ucywilizować. Dlatego mocno pragnę, ażeby spieszyli do istniejących już czytelni ludowych, a nowe jeszcze zakładali. Pozwolę sobie zacytować w tem miejscu bardzo trafne słowa artykułu, pomieszczonego w „Echu".

„Pojmujemy to dobrze, iż chłop potrzeby szkoły i spływającej nań oświaty przez takową, dostatecznie ani odczuwa, ani odczuwać może. Pojmując to jednak, pojmujemy rzecz inną, a mianowicie fakt konieczności pracowania w danym kierunku przez tych, którzy ową potrzebę oświaty między ludem dobrze rozumieją. Jeżeli przecie spotkane będą na tej drodze przeszkody, płynące głównie z obojętności samego ludu wiejskiego, to wynaleźć należy środek inny równie dodatnio działający.

Środek taki zastosowany został skutecznie już w kilku stronach kraju, a jest nim zakładanie czytelni gminnych, lub urządzanie takowych choćby prywatnie po wsiach i wioskach.

Przed kilku tygodniami np. „Gazeta Lubelska" doniosła, że w gubernii, której jest organem, na mocy uchwały zebrania gminnego, czytelnia taka w jednej z gmin powstała i odpowiedniemi funduszami na zakupno książek i urządzenie opatrzoną została. To co w jednej gminie uczyniono, sądzimy, że mogłoby być wszędzie zrobionem.

Niezawiśle od czytelni gminnych powinniśmy zpróbować zakładać wypożyczalnie dziełek ludowych. Bodaj czy nie byłby to najdzielniejszy sposób nauczania ludu i zachęcania do czytania.

Książek stosownych dla ludu nie brak nam, a w miarę wzrastających potrzeb przybędzie niezawodnie i pracowników. Jest to bardzo ważna gałęź w literaturze naszej, do jej uprawy potrzeba talentów równie jak i zachęty. Tem ostatniem zajmują się stowarzyszenia, krzewiące oświatę pomiędzy ludem. Do takich należy „Macierz polska".

Uwaga całego kraju śledziła bacznie rozwój tej instytucyi. Spodziewaliśmy się, że stanie ona na czele ruchu oświecenia ludu, odrazu rozwinie działalność wielką i pożyteczną. Przykro wyznać żeśmy się zawiedli. Przemilczeć wszakże o tak ważnej sprawie niepodobna. Macierz ma zadanie nie małe, lecz również wielkie obowiązki. Na brak możności nie może się użalać.

Oprócz kapitału zakładowego posiada ona roczną subwencyą ze strony sejmu galicyjskiego. Dla tak ważnej instytucyi, sądzimy, że każdy poświęci czas i pracę. Czyżby więc brakło nam ludzi, którzyby umieli pokierować działalnością Macierzy? Chyba, że tak jest, bo czyny potwierdzają nasz domysł.

Oto za cały rok istnienia wydała Macierz dopiero pięć książeczek małych — a dalekich od doskonałości. Rozpisywano konkurs, oznaczono nagrodę stosunkowo wysoką, a jednak rezultat wcale nie świetny. Na siedmdziesiąt kilka prac nadesłanych do komitetu redakcyjnego znalazło się ledwo pięć, nadających się do druku i to wobec niewybrednego sądu znawców. Znawcy ci widocznie czytali coś kiedyś o ludzie i chatach wieśniaczych, wiedzą nawet, że chłop jest ciemny i zaniedbany pod względem moralnym, a co z tego wynika, iż obowiązkiem ludzi światłych jest nauczanie młodszej braci. Bardzo to piękne wszystko, lecz jak się do tego zabrać?

Nie dość tu dobre mieć chęci, trzeba jeszcze umieć wykonywać zamiary. Czy tą umiejętnością może się poszczycić komitet redakcyjny, niech osądzą czytelnicy z kilku uwag o jednej z książeczek wydanych przez niego.

Są to „Opowiadania dla ludu" przez Antoninę Machczyńską. Prostoty nie ma tam ani za grosz, za to napuszystość stylu i myśli tak się rozwielmożniła, jakby autorka chciała nas przekonać, iż to nie skowronkowi śpiewać na naszych niwach i polach, lecz pysznemu pawiowi wykrzykiwać morały. Oto np. opowiada autorka o starym Jędrzeju, który postradał nogę i musi teraz posługiwać się szczudłem. Siedmioletni chłopak przypatruje mu się uważnie. Widząc to Jędrzej rzecze:

— Jak urośniesz duży, wówczas dopiero powiesz, co myślisz o mojej drewnianej nodze, zastępującej mi nogę prawdziwą, którą straciłem w bitwie. A teraz ani słowa chłopcze! czekaj pierwej na obudzenie się rozumu i serca!

Niech mi kto wytłomaczy jaka w tem myśl jest, jakie poczucie etyczne i moralne, jaka znajomość psychologii podyktowała autorce te słowa?

Inna powiastka ma wykazać, że lud nie przyjmuje za dobre uczynki *nagrody*, lecz chętnie widzi *pomoc*. Takiej subtelności nie spotykaliśmy dotąd, a jeśliby i była, to niezawodnie tylko w czynach, w słowa tych zasad chłop przeoblec nie potrafi. Ckliwe więc są słowa autorki, włożone w usta jednego z wieśniaków. A, to co innego! Nagrody nie chcemy, lecz pomoc uczciwa, Bóg widzi, że nam potrzebna. Przyjmujemy więc pieniądze...

Są to sentymenta, na które żadną miarą nie możemy się pisać, a jednak pełno ich w tej książeczce.

Proszę nam wybaczyć, żeśmy rzucili kilka uwag gorzkich co prawda — lecz tu idzie o dobro zbyt wielkie, abyśmy je mogli lekceważyć. Instytucya tak ważna nie powinna popełniać błędów zasadniczych. Nie wystarczą tu dobre chęci, trzeba się zabrać do pracy umiejętnie. Dla ludu mogą pisać ci tylko, którzy go znają dobrze i do tego rodzaju prac mają istotny talent.

Es. Zet.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Maja 1883 roku.

W przeszłej korespondencyi mówiliśmy o kapeluszach i okrywkach, zakupionych na magazyn pań Kuhnke; dziś dajemy opis czterech pięknych sukien, wybranych przez panie K. w wielkim magazynie pani Bedentel, i prosto ztąd wyprawionych do Tyflisu. Nim przystąpimy do szczegółowego opisania, powiedzmy, że tak w kroju jak i w ozdobach teraźniejszych sukien, nadzwyczajną widzimy rozmaitość, nie można dziś określić, wyłącznie panującej mody, którаby przemagała w ubraniu. Do codziennego użycia i na ulicę, przyjęte powszechnie krótkie suknie, nawet nie dotykające ziemi. Na wieczory młode osoby ubierają się także krótko; starsze używają sukien z bardzo małemi powłokami. Staniki mają bawet, tak z przodu jak i w tyle, po bokach zachodzą na biodra, przód u stanika, czy to gładki, czy marszczony, rozchodzi się zazwyczaj z pod spodu wygląda kamizelka lub plastron. Na teatr lub na wieczór, przyjęty stanik pół otwarty, i rękawy sięgające ledwie do łokcia.

Koronki tak białe jak i czarne, bardzo używane do ozdoby strojniejszych sukien, garnirują niemi stanik i przód spódnicy w kształcie fartuszka.

Po tych ogólnych uwagach przystępujemy do opisu wyprawionych ztąd sukien.

Pierwsza z nich wizytowa, miała spódniczkę jedwabną, w kratkę mieniącą się w dwóch kolorach, zielonym i malinowym. U dołu szła falbanka, szerokości 15 centimetrów, ułożona w kontrafałdy. Dopełniało ubrania piękne *vetement* z kaszmiru indyjskiego, w ciemno zielonym kolorze. Przednie bryty rozchodziły się do boków *en panier*, dalej

spadały z obu stron poły gładkie, podbite materyą malinową. Tylne bryty, przedłużone od pleców, tworzyły fantastyczną draperyą. Przód stanika, ułożony w grube fałdy, kończył się u dołu pękiem pukli długo spadających.

Druga suknia strojniejsza składała się z atłasu *satin merveuilleux* w kolorze mahoniowym i z brokatelli w dwóch tychże samych odcieniach. Spódniczka atłasowa, kończyła się plisowanym wolancikiem, nad nim szła woda szeroka przeszło na pół łokcia, powyżej przód cały z brokatelli. Od stanu rozchodziła się draperya atłasowa *en panier* tworząc w tyle puff rozniesisty. Tylne bryty również atłasowe, powłóczyły się cokolwiek po ziemi. Stanik z brokatelli, przybrany był wodą atłasową, zarówno jak rękawy. Z przodu dopełniał ozdoby piękny bukiet z pączków róży w blado różowym odcieniu.

Trzeci kostium z tkaniny indyjskiej, *voile indon* w ciemno oliwkowym kolorze. U dołu falbanka plisowana, nad nią wolant szeroki na łokieć. Od stanika rozchodzi się draperya z takiejże tkaniny, przerabianej w jasno oliwkowe księżyce i łączy się w tyle fantastycznym puffem.

W koło draperya ta, ogarnirowana białą koronką. Stanik w księżyce, z bawetem tak z przodu jak i w tyle, przybrany również koronką i kokardami ze wstążki jasno oliwkowej. Na przodzie z pod bawetu spada wielki pęk takichże pukli.

Czwarta suknia popielata, z materyi w drobniuchną kratkę czarną z białem. U dołu spódniczki wązka fałdowana falbanka, powyżej szeroki wolant układany w kontrafałdy, zakończony u dołu czarną lekko namarszczoną koronką. Z przodu spada tartuszek, złożony z trzech buf, zaokrąglony po bokach, łączy się w tyle z rozniesistą draperyą. Stanik do tego z niewielkiem karoczkiem w kształcie fraczka, przymarszczony, spięty na stalowe guziki; od boków do przodu przechodzi czarna wstążka związana na długą kokardę.

Oprócz sukien wysłanych w dalekie strony świata, panie Kuhnke nabyły dwa prześliczne modele przeznaczone dla Warszawianek. Jedna z tych sukien prawdziwie wiosenna z półbatystu w kolorze śmietankowym, zasiana cała pączkami róży w rozmaitych odcieniach od blado różowego do ciemno pąsowego. U dołu spódniczki, szło sześć wązkich falbaneczek, w kolorach odpowiednich do pączków, nad niemi szeroki wolant śmietankowy, układany w kontrafałdy, obszyty takąż koronką. Stanik, zakończony u dołu odwróconą draperyą, miał garnirunek w różnych odcieniach, odpowiedni do spódniczki. Tylne bryty, podpięte zręcznie, tworzyły wielkie pukle ogarnirowane koronką.

Drugi kostium składał się z woalu indyjskiego, w kolorze szafirowym *bleu electrique*, i z tejże samej tkaniny w kratę, w dwóch odcieniach tegoż koloru. Spódniczka gładka krótka, miała szeroki wolant, objęty plisą w kratę. Na to szła tunika w kratę połączona z przodu klapkami, spiętemi na metalowe guziki. Draperya w tyle, składała się z obu tkanin zmieszanych razem. Stanik z gładkiego woalu, spięty był również na klapki, pod spód szedł przymarszczony plastron w kratę. Rękawy odpowiednie, gładkie, z pod klapek zapiętych wzdłuż ręki wyglądała buffa kratkowana.

Z pierwszym słońcem, ukazały się na przechadzkach paryzkich, świeże słomkowe kapelusze. Uważaliśmy wiele z nich, przybranych bukietem malin, poziomek, wisien, śliwek, brzoskwin i t. p. Nie sądźmy jednak, aby kwiaty miały zupełnie ustąpić przed owocami; wpadła nam w oczy śliczna kapotka z cienkiej słomki w brązowym kolorze.

Maleńkie rondko przylegało do czoła, nad niem szła gerlandka z margerytek białych z żółtemi środkami. Kokardy z wstążki brązowej i także szarfy dopełniały ubrania.

Inna skromna kapotka do wyjścia na ulicę, z materyi szafirowej *bleu electrique* miała rondko nagarnirowane całe ruszą z koronki czarnej. Wstążka ujęta w klamry złote, stanowiła główną jej ozdobę. Używają powszechnie szpilek bądź złotych, bądź stalowych i szyldkretowych do ubierania kapeluszy.

Rękawy u sukien, przymarszczone w górze pojawiają się coraz częściej, moda ta wpłynęła już na wizytki i okrywki różnego rodzaju. Widzieliśmy mantylę jedwabną, pokrywającą plecy, z długiemi końcami na przodzie. Od ramienia do łokcia szły bufiaste epolety, zakończone u dołu frendzlą. Osoby tylko wysokie i bardzo szczupłe, mogą sobie pozwolić tej ekscentrycznej mody.

Kolor czarny wielkiej używa dziś wziętości. Widzimy po magazynach, bardzo ładne gazy broszowane na suknie. Najpiękniejsze mają deseń aksamitny w czarnym kolorze, skromniejsze przerabiane w atłasowy deseń. Tychże gaz używają na mantyle i wizytki, garnirowane koronką lub bląndyną hiszpańską. Noszą też krawatki i plastrony czarne, przystrojone koronką z dżetem.

W magazynach przygotowano na lato tysiące mantyl czarnych bląndynowych, rozmaitej wielkości, na upały letnie, nie ma przyjemniejszego i lżejszego okrycia. Wielkie mantyle podpinają kokardami z czarnej wstążki, mniejsze przewiązują na piersiach.

Rękawiczki duńskie, długo zachodzące na rękę, powszechnie dziś przyjęte, noszą je zarówno do codziennego jak i do większego ubrania.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

⁂ W przeszłym tygodniu zmarła w Warszawie Jacentowa Wyżerkowa, przekupka ze Starego Miasta, prawdziwy wzór miłosiedzia chrześciańskiego. Była właścicielką kramu z rozmaitemi towarami służącemi do ubrania, począwszy od obuwia aż do czepków odwiecznej mody. Zacna kobieta bardzo zasłużenie zyskała nazwę „opiekunki sierot", pod jaką znaną była w całej tej starodawnej dzielnicy. W ciągu lat 40 przygarnęła i wyrwała z ostatniej nędzy kilkanaście sierot obojej płci, które bez jej poparcia i pomocy byłyby zapewne poumierały z głodu lub wychowały się na kandydatów do kajdan i więzień.

Owdowiawszy wcześnie i nie mając własnych dzieci ani rodziny, oddała się całą duszą przygarnionym przez siebie sierotom. Jako niezamożna przekupka, posiadała nader szczupłe środki materyalne, musiała więc jak najbardziej ograniczać swoje potrzeby, aby wyżywić i jako tako przyodziać swoich, jak nazywała „urwisów". Chcąc aby wyszli na uczciwych i pożytecznych ludzi, chłopców oddawała do terminu, dziewczęta do nauki szycia a starsze do służby. Choć prosta kobieta, pojmowała przecież konieczność oświaty, to też wychowańcom i wychowankom swoim zalecała naukę elementarną.

W obejściu z ludźmi była szorstka, weredyczka, jak zresztą wszystkie kramarki z jej epoki, ale przy tem miała najlepsze serce i nigdy nie odpychała biednych bez wsparcia, niejednokrotnie przewyższającego jej środki. Pomimo że nieraz bolesnych doznawała zawodów i niewdzięczności, gdyż większość jej zebranych z ulicy wychowańców, zostawszy odkarmieni i przyodziani uciekali, a jeden okradł ją nawet—nie zrażało ją to jednak, nie odstręczało od dobrych uczynków. To też szlachetna jej wytrwałość nie pozostała bez nagrody; pod koniec życia mogła cieszyć się powodzeniem i dobrobytem kilkunastu niegdyś „urwisów", a obecnie poważanych rzemieślników i ojców rodzin. Przed czterema laty pozbyła się swego kramu i zamieszkała stale przy jednym ze swoich wychowańców, który ociemniałą od dwóch lat staruszkę poczciwą otoczył opieką. Wychowaniec ten, dziś właściciel zakładu krawieckiego, był najpierwszym i najulubieńszym jej wychowańcem; drugim z kolei jest pewien zamożny właściciel trzech wiatraków pod Warszawą; oprócz nich trzech majstrów szewckich, jeden stolarz, dwóch murarzy, pięciu czeladników różnych rzemiosł i dwóch służących, zawdzięcza byt swój tej zacnej opiekunce sierot. Z dziewcząt trzy wyszły za mąż za rzemieślników, jedna jest szwaczką a cztery służą za gospodynie w zamożniejszych domach.

Zacna ta kobieta doczekała późnej starości, zmarła bowiem mając lat przeszło 90. Cześć jej pamięci! Jakże to wymowny przykład czego dokonać może miłosierdzie chrześciańskie i wiara w powodzenie dobrej sprawy.

⁂ Inżynier Ziembiński, dyrektor Instytutu Techniczno-Przemysłowego w Krakowie, wynalazł przyrząd samodziałający i ostrzegający o wyniklym pożarze. Szczegółowy skład przyrządu pozostaje dotąd w tajemnicy, ponieważ wynalazca stara się o patent wyłączności; jednak z próby odbytej przed kilku dniami, można wnosić że „ostrzegacz pożarny" da się doskonale zastosować w praktyce. Zasadza się ten przyrząd na rozprężaniu i dyffuzyi powietrza pod wpływem wzrostu temperatury, wskutek czego za najmniejszą raptowną zmianą temperatury w danej miejscowości, daje sygnał ostrzegawczy. Próba odbyła się w dość dużej sali, w której pod sufitem zawieszono przyrząd. W znacznej od niego odległości zapalono papiery nasycone spirytusem, a po upływie 45 sekund nastąpił sygnał i wskutek stosownej konstrukcyi przyrząd otworzył kran wodociągowy. Próby urządzał p. Milicer w obecności wielu osób, zainteresowanych nowym wynalazkiem.

⁂ Gazety rossyjskie donoszą, iż w ostatnich czasach ukonstytuowało się już w Petersburgu stowarzyszenie mające za cel zakładanie warsztatów dla kobiet oraz szkół profesyjnych żeńskich. W tych dniach odbyło się pierwsze posiedzenie członków towarzystwa; oto główniejsze paragrafy ustawy: 1-o, potrzebny kapitał zebrany zostanie przez rozkupienie przez członków akcyi sturublowych; 2-o, czysty zysk otrzymany ze sprzedaży artykułów wyrobionych w warsztatach, będzie stanowił dywidendę od posiadanych przez członków akcyj; 3-o, uczenice szkół profesyjnych otrzymywać będą połowę swego zarobnego, druga zaś połowa obrócona być ma na kapitał z pomocą którego zostaną urządzane zakłady mające zostać wspólną własnością pracowni; 4-o, towarzystwo starać się ma przeważnie o kształcenie kobiet

w tych mianowicie profesyach, które pomimo że mogą być bardzo korzystne, nie były przecież dotychczas eksploatowane przez kobiety; 5-o, do zarządu instytucyą mogą być powoływani nietylko członkowie instytucyi, ale w ogóle osoby przedstawiające odpowiednie warunki do jej kierownictwa.

*** W Anglii zawiązało się Towarzystwo z dość znacznym kapitałem, w celu założenia pierwszej podziemnej kolei elektrycznej, mającej połączyć z sobą tunelem stacye Charing i Waterloo, należące do zwykłej kolei miejskiej. Wyższość nowego systemu lokomocyi nad używanym obecnie przy pomocy pary jest pod wielu względami niezaprzeczona. Biorąc nawet za przykład ciężar najlżejszego parowozu, będzie on jeszcze tak znaczny w porównaniu do ciężaru wagonów, iż potrzeba by ich było w pociągu pięć do sześciu, aby unormował się jako tako stosunek pomiędzy motorem a przewożonym ciężarem, czyli mówiąc po prostu, aby się koszta jazdy opłaciły. I to właśnie jest powodem, że pociągi na kolejach miejskich nie mogą być tak częste, jakby tego dogodność pasażerów wymagała, potrzeba bowiem czekać zanim się pięć wagonów zapełni. Przeciwnie zaś na kolejach elektrycznych każdy wagon może mieć swój oddzielny motor. Wagony te składają się z trzech przedziałów, przedni stanowi pierwszą klasę, tylny drugą, a w środku mieści się elektrodynamometryczna maszyna. Są one tak urządzone, że dno jest tylko 9 cali wzniesione nad poziom; wagony te odchodzić będą ze stacyi końcowych co dwie minuty jeden za drugim. Na nowej kolei ułożone być mają dwa tory. Jak tylko wagony przybędę do końcowej stacyi i pasażerowie wysiądą, zostaje on wzniesiony w górę za pomocą silnej maszyny elektycznej i po równi pochyłej przesunięty na drugi tor, po którym wraca do stacyi wyjazdu. Wagony poruszane elektrycznością, tę jeszcze przedstawiają dogodność na kolejach podziemnych, że wytwarzanie siły pociągowej nie powoduje wydzielania się szkodliwych gazów i dymu, tak dotkliwie dających się uczuwać pasażerom w pociągach poruszanych parą.

PRZEPIS NA MAŚĆ DOMOWĄ

oraz

SPOSÓB OPATRUNKU RAN. (*)

W dużym, mocnym rądlu rozpuścić szmalcu wieprzowego pół funta, wsypać *glejty* 1 funt, a mieszając kopystką, smażyć tak długo, aż glejta całkowicie zczernieje, wtedy włożyć w rądel: *łoju wołowego* 4 funty, *szmalcu wieprzowego* $2\frac{1}{2}$ funta, *oliwy świeżej* $\frac{1}{2}$ funta, *wosku* 4 funty, *żywicy* 1 funt, *terpentyny gęstej* 4 łuty. Uważnie strzegąc zakipienia, gotować na wolnem ogniu godzinę, po czem wystawić rądel, a gdy maść trochę przestygnie, kłaść ostrożnie, po trochu: *Sagapenum* 4 łuty, *Galbanum* 4 łuty, *Amoniacum* 4 łuty, *Bdelium* 4 łuty, które na parę godzin poprzednio, zalewa się mocnym spirytusem i w małym rądelku pod nakryciem na gorącej stawia się blasze, aby na gęste, równe rozpuściły się powidełka. Znowu maść wstawić na ogień, a gdy się czas jakiś wolno pogotuje i nabierze koloru ciemnego, cedząc przez muślin, wylać o dwa palce grubości, na naczynia tłustym wyłożone papierem. Po zastygnięciu w suchem i zimnem zachować miejscu. (Brakujące często w aptece Bdelium zastąpić można *Mirchą*).

Maść ta leczy zastarzałe rany, jako i świeże skaleczenia; przykłada się także na wrzody, na gruczoły wszelkie i obrzękłości, jako to na szyjkach u dzieci w szkarlatynie, na liszaje i tym podobne powierzchowne cierpienia, a w niektórych razach przeciw wewnętrznym, zastępując skutecznie kosztowne papiery i plastry paryzkie np. od kaszlu, od bólu boku w skutek choroby wątroby etc. Opatrując rany głęboko zapadłe, należy maść smarować na szarpie; przy rozwartych np. po skaleczeniu siekierą, kosą, od uderzenia kopyta końskiego, smaruje się na cienkie stare płótno i kraje na paski, za pomocą których brzegi rany zbliżają się jak najściślej, ku prędszemu zabliźnieniu.

Na plaster kładzie się bandaż i kompresa z wody gulardowej, która zapobiega zapaleniu i opuchliznie. W leczeniu ran zważać trzeba starannie na czyste utrzymanie ich, plastry zmieniają się dwa razy dniem, a rany moczą się, przemywają lub sprycują wodą ciepłą, rumiankiem albo mydlinami. Tylko w małych przecięciach skóry, można zalepiwszy plasterkami nie zdejmować ich dwie lub trzy doby do zrośnięcia się blizny, lecz bandaż wodą gulardową natrzepywać często. Na cel taki, do pewnej ilości maści dodać w odpowiednim stosunku więcej wosku i żywicy, a otrzyma się plaster lepki, mocno strzymujący brzegi rany. Jeżeli rana zagajać się nie może w skutek porostu wysokiemi brodawkami, które lud dzikiem mięsem nazywa, trzeba takowe przypiekać kamieniem piekielnym, co dzień lub co drugi.

W wielu razach jeżeli np. taki narost na palcu spracowanym lub z pod paznokcia wyrasta, niszczy się najlepiej zasypując po wymoczeniu, dwa razy dniem ałunem palonym. Zastarzałe, cuchnące rany oczyszcza się wodą karbolową, którą się robi w tej proporcyi.

Wody miękkiej 12 łyżek, spirytusu 2 łyżki, kwasu karbolowego 60 kropli, maczać szarpie i kłaść na rany, zmieniając co parę godzin świeże.

Kładąc maść na wrzody, należy ją rozsmarować grubiej na plaster, niż na rany, wokoło opuchliznę smarować oliwą kamforową, a na wierzch świeżą watą obłożyć. Ponieważ w wielu razach przykładając maść na rany, a głównie na świeże skaleczenia, obszerny i często zmieniany kompres z wody gulardowej jest niezbędnym, zatem dołącza się przepis robienia jej w domu, w sposób dobry i tani.

Glejty 1 funt wsypać w garnuszek gliniany, polewany, który do innego użytku nigdy już użyty być nie powinien, zalać glejtę trzema kwaterkami gorącego, zwyczajnego, białego octu, często wymieszać kopystką i nakrywać garnczek, po 24 godzinach otrzyma się Extractum-Saturni, który czysty zlać do butelki z napisem, a skoro potrzeba wody gulardowej, na szklankę czystej wody źródlanej wlewa się Extractum-Saturni kropli kilkanaści; woda gulardowa starannie urządzona powinna nie ważyć się, nie ustawać się zbytecznie, mieć pozór mleka wodnistego. W razie oparzenia bardzo dobrym jest środkiem, część bolącą zanurzyć w wodzie gulardowej, polewać nią lub kompresami okładać, a ból i zapalenie ustępuje. Jeżeli rana po oparzeniu już ropieje, to pod kompresę kłaść plaster maści, rozsmarowanej cieniutko, na cienki płócienny płatek. Gdyby do użytku tego żądaną była maść bardzo delikatna, robi się śmietankową, czyli gulardową w ten sposób: łyżkę szmalcu wieprzowego utrzeć na zimno do białości śmietany, wraz z kilkunastu kroplami Extractum-Saturni. Starzejąc żółknie.

Apteczne ingredyencye wchodzące w skład maści płacą się około 2 rs. Kwarta wody gulardowej zrobiona w domu kosztuje pół grosza.

H. B.

(*) Pani Bagieńska ze Skoczkowa w Płockiem, już przed kilku laty, nadesłała nam łaskawie duży krąg tej maści dla większego upowszechnienia jako niezmiernie skutecznej we wszelkiego rodzaju okaleczeniach, owrzedzeniach i oparzeniach. Doświadczywszy jej zbawiennych prawdziwie skutków i rozdawszy cały posiadany zapas różnym osobom coraz liczniej do nas zgłaszającym się, zawiadomiliśmy o tem szanowną panią Bagieńską, która w odpowiedzi przysłała nam nowy zapas i zarazem przyłączyła przepis na robienie tej maści.

Ponieważ skuteczność jej jest niewątpliwa przyznana nawet przez lekarzy, z których zmarły Dr Chomętowski nazwał ją nawet cudowną, przepis więc jej pomieszczamy w Tygodniku, w tem przekonaniu, że spełniamy przez to nietylko dogodność ale i obowiązek ludzkości.

J. K. Gregorowicz.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Prenumeratorce ze Lwowa. Szerokość denka do czepeczka ryc. 1 w N-rze 10 Tygodnika Mód, powinna wynosić 23 cent.

Zawiadomienia.

Pragnąc coraz więcej rozwijać działalność opartą na zdobytem już zaufaniu Prenumeratorek Tygodnika Mód i Powieści, Redakcya ma zaszczyt podać do ogólnej wiadomości, że pod swym nadzorem urządziła pracownię wszelkich **ubrań i strojów damskich** nie wyłączając **bielizny** i oddawszy ją pod główny kierunek osoby należycie uzdolnionej, przyjmuje wszelkie obstalunki tak z materyałów jej powierzonych jak i z własnych, wykonywa je według najświeższych wzorów paryzkich, poręczając za staranne wykończenie i uczciwy stosunek z interesantkami.

Adres: Do Redakcyi Tygodnika Mód i Powieści oraz Przyjaciela Dzieci — Widok Nr 3.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i duży arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою, Варшава 19 Апрѣля 1883 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 18, r. 1883.

NIEBEZPIECZNE MAŁŻEŃSTWA.

I.

TRZY ŻONY HENRYKA SMIRT.

przez

ANAIS SÈGALAS.

Przekład J. B.

(Dalszy ciąg.)

Uspokojona Amedina zasnęła; korzystając z tego Marynka wstała i zbliżywszy się do pana d'Armangis, zapytała cicho:

— Cóż powiedział doktór?

— Moja poczciwa Marynko, odrzekł cicho, a rozpacz drgała w jego głosie, utracę moje jedyne, ukochane dziecię.

— Wielki Boże! krzyknęła Marynka, głośnem zanosząc się łkaniem.

— Cicho! cicho! na miłość Boską! zawołał przerażony pan d'Armangis, obudzisz Amedinę.

I tak się też stało.

— Płaczesz, Marynko, rzekła przerażona podnosząc głowę, płaczesz... o mój Boże! więc ja umrę!..

— Dziecko moje! krzyknął przybiegając do łóżka pan d'Armangis, jak możesz to mówić!

— Umierać! mówiła jeszcze, umierać tak młodo... ach! to strasznie!.. Opuścić wszystkich co kocham... ciebie, drogi ojcze!.. i jego!.. jego!.. O! rozumiem teraz... doktór uprzedził cię... powiedział że trzeba mnie przygotować... zawezwać księdza... wszak prawda?..

— Ale skądżeś uroiłaś to sobie?.. mówił pan d'Armangis ściskając ją, doktór nic takiego nie powiedział.

Miły Boże! myślała sobie Marynka, nie mogąc powstrzymać się od płaczu, ksiądz nie będzie miał z nią kłopotu, boć to istny anioł, rozwinie skrzydła i uleci do nieba... Ksiądz przeżegna, zetrze lekki pyłek ze skrzydełek, i po wszystkiem.

— Pieszczotko moja jedyna, nie zwracaj uwagi na łzy Marynki, wiesz przecie jak u niej o płacz łatwo... Bądź tylko spokojna, za kilka dni będziesz zdrowa.

Słysząc to zapewnienie ojca, Amedina uścisnęła jego rękę i uspokoiła się, uśmiech zawitał na jej blade usteczka.

Pan d'Armangis oczekiwał powrotu doktora z niewysłowionym niepokojem. W godzinę później usłyszał że zadzwoniono do drzwi wchodowych; zerwał się natychmiast i wybiegł z pokoju, powiedziawszy pierwej Marynce:

— Nie odstępuj Amediny ani na krok.

Wpadł do przedpokoju właśnie w chwili gdy doktór wszedł i służący zdejmował z niego paltot. Porwawszy go za rękę, wciągnął prędko do pokoju; gdy już byli sami, przez chwilę milcząc patrzyli na siebie.

W oczach pana d'Armangis drgało pytanie wymowniejsze niż najgorętsze słowa, pałały gorączkową niecierpliwością, zdając się wołać na doktora:

— Mówże prędzej!

— Doktór był poważniejszy niż zwykle; ściągał brwi, twarz przybrała surowy wyraz.

— A więc nie omyliłem się! zawołał pan d'Armangis; nędznik!.. potwór!..

— Nie oskarżaj nikogo, rzekł doktór surowo, nie zapominaj że należy zastanowić się bardzo głęboko, zanim posądzimy kogoś o zbrodnię...

— Co chcesz powiedzieć?

— Chcę powiedzieć że napar ten poddany był nader ścisłej analizie chemicznej; nie dość ufając sobie, oddałem flaszeczkę uczonemu chemikowi, i mogę cię zapewnić że w tym napoju nie ma ani kropelki jakiejbądź, choćby najniewinniejszej trucizny.

— Czy być może!.. zawołał pan d'Armangis.

Odetchnął długo; uczuł że wielki ciężar spada mu z serca, i nietylko twarz ale cała postać jego widocznie rozpromieniała.

— Ach! doktorze kochany, zawołał nareszcie, ani pojmujesz jak wielkie wyświadczyłeś mi dobrodziejstwo... nie mam słów na wyrażenie tego co przecierpiałem... jaka to straszna męka taka okropna wątpliwość!.. Ani kropelki trucizny, a przecież *ona* była w jego mocy, mógłby ją był jej zadać... O miałeś słuszność! byłem szalonym, oskarżałem niesłusznie... I mógłżem słuchać, mógłżem uwierzyć tak potwornej baśni!.. A! zła! niepoczciwa kobieta!..

— Ale o kimże mówisz? zapytał doktór.

— Nic już nie mówię! zawołał pan d'Armangis... i tak powiedziałem za wiele... Doktorze kochany, zapomnij proszę strasznych podejrzeń moich... liczę na ciebie że dochowasz tajemnicy... A! zdaje mi się że odżyłem; czuję że sił mi przybyło... Słuchaj przyjacielu, wszak mówią że pierwsze szczęście, zarówno jak pierwsze nieszczęście, pociąga za sobą inne... ocalemy więc, uratujemy nasze kochane dziecię... wszak prawda?..

— Nie zaniedbam nic, użyję wszelkich środków jakie medycyna podaje, i mam nadzieję...

Nie dokończył, a w duszy pomyślał sobie: „Biedny ojciec!"

Doktór nie miał środków ratunku, ale wszechmocny Ojciec niebieski spojrzał litościwie na tyle łez i cierpień, i smutnych i zbolałych nie zostawił bez pociechy.

Groźne symptomata zmiejszały się powoli, boleści i gorączka ustały; poczciwy doktór sam był zdziwiony tą szczęśliwą zmianą i nawet nieco dumny ze swej kuracyi. Choć nie był zarozumiałym, przyznawał sobie jednak że dokonał cudownego niemal wyleczenia. Nie przyszło mu nawet na myśl że gorące modły nieszczęsnego ojca i Marynki, mogły cud ten uprosić u Pana Zastępów.

Nie probujemy nawet opisać uszczęśliwienia pana d'Armangis, gdy widział że ukochana jego córka zaczyna odzyskiwać zdrowie; a szczęście i radość jego tem były większe iż nie zatruwał ich cień złowrogich podejrzeń. Jak wszystkie zazwyczaj żywe i wrażliwe charaktery, przerzucił się nagle od podejrzeń do najgłębszej ufności, i tem serdeczniej ściskał dłoń Henryka, iż w duszy wyrzucał sobie tak niesprawiedliwe posądzenie.

Szczęściem Henryk nie domyślał się niczego; jednak pan d'Armangis czuł w gruncie duszy, iż zięciowi ciężką wyrządził zniewagę.

Niestety! ten pokój i szczęście okupione tylu cierpieniami i łzami, nie długo potrwać miało — zakłóciło je niebawem, dziwne, niespodziewane zdarzenie.

VII

Szafa Henryka Smirt.

Pewnego dnia pan d'Armangis spotkał na ulicy margrabinę de Forgy. Szła ustrojona bogato, z głową podniesioną dumnie, z miną nieco wyzywającą, jak prawdziwa Paryżanka:

Idąc naprzeciw pana d'Armangis, zwróciła uwagę jego odgłosem jaki wydawały wysokie jej obcasiki, uderzając o flizy chodnika.

Poznał ją i zadrżał; ładna jej twarzyczka wydała mu się straszną jak głowa Meduzy. Podszedł ku niej i ukłoniwszy się, rzekł:

— Czy pani margrabina mnie poznaje?

Teraz z kolei ona zadrżała i zbladła.

— Jeżli się nie mylę, miałam przyjemność spotkać się z panem w teatrze, w loży pani de Villeneuve... Ale nie chcę zatrzymywać pana, dodała, chcąc rozstać się z nim jak najprędzej.

— O! raczy pani poświęcić mi kilka minut, rzekł nakazująco, wpatrując się w nią tak groźnym i gniewnym wzrokiem, iż mimo całej pewności siebie, spuściła oczy i dreszcz ją przebiegł.

— Zapewnie dowiedziała się pani od pani de Villeneuve, że pan Henryk Smirt jest moim zięciem... Ten sam Henryk Smirt o którym opowiadała pani tak niesłychane historye, i tak dowcipnie przezwała go Henrykiem VIII.

— Nie wiedziałam że ten pan jest zięciem pana... przecież nie jestem obowiązana znać wszelkie stosunki, pokrewieństwa i powinowactwa.

— Ale jesteś pani obowiązana mieć jakieś dowody faktów z których tak zajmujące układasz kroniki. Mam zaszczyt oznajmić pani że córka moja, trzecia żona pana Henryka Smirt, przebyła teraz właśnie śmiertelną chorobę, dzięki jak najtroskliwszej opiece i staraniom moim i kochającego ją męża, któremu nigdy nawet się nie śniła chęć otrucia kogokolwiek.

— Najmocniej temu wierzę i żałuję niewymownie że mnie w błąd wprowadzono...

— Spodziewam się że na przyszłość, ilekroć przyjdzie pani ochota rozpowiadać bajeczne historye, zechcesz szukać do nich wątku w *Tysiąc i jednej nocy* lub w *Powieściach* Hoffman'a.

— Ej! mój panie, odparła zniecierpliwiona margrabina, kto wie czy czasem *Kot Murr* nie obraziłby się znów o to!

Pan d'Armangis spojrzał na nią surowo, i rzekł poważnie:

— Wolno mi jest wymagać aby pani nigdy i nikomu nie powtarzała tej nikczemnej potwarzy — w przeciwnym razie zmuszony byłbym przypomnieć jej z wszelką możliwą grzecznością, że prawo surowo każe potwarców, choćby to były jak najładniejsze nawet damy.

To powiedziawszy ukłonił się i odszedł.

Margrabina nie posiadała się ze złości, jak zwykle gdy ktoś poczuwa się do winy. A że nie mogła gniewać się na siebie, bo miłość własna nie pozwalała na to, nadto dla siebie jednej na świecie nader była

pobłażliwą, więc gniew swój zwróciła ku temu właśnie przeciw któremu zawiniła.

Już od kilku miesięcy mieszkała w apartamencie zajmowanym kiedyś przez Henryka Smirt, i choć od dawna urządziła się już zupełnie, jednak codziennie niemal jeszcze zaprowadzała jakieś zmiany. Nowy lokal to jakby nowy znajomy z którym zaprzyjaźniami się bardzo powoli, a może nawet łatwiej poznać charakter nowego przyjaciela, niż poznać zakątki i oswoić się z nowem pomieszkaniem.

Tym razem, wróciwszy do domu, margrabina powyjmowała niektóre rzeczy z urządzonej w murze szafy, zamierzając inaczej je porozmieszczać, a mianowicie wiele z nich, jak szale i koronki, ułożyć na pustej dotąd, w górze umieszczonej głębokiej półce. Wtedy spostrzegła że półka ta jest daleko głębsza niż myślała, a w rogu jej było zagłębienie w murze, tworzące jakby małą skrytkę, którą nie od razu dostrzedz było można.

„Wybornie, pomyślała sobie, wsunę tam pudełko z koronkami i kasetkę z klejnotami, będą dobrze ukryte, jakby na dwa zamki zamknięte.”

Ale wsuwyjąc pudełko, uczuła że się o coś zapiera.

„Co to być może, mówiła, przecież nic tam nie kładłam.

Włożywszy rękę uczuła zasunięty w kąt jakiś gruby i twardy przedmiot, którego dla ciemności rozróżnić nie mogła.

— Założyłabym się że zapomniał czegoś ten pan Henryk Smirt, ów mój tajemniczy poprzedni lokator, który już mi kością w gardle staje... Kto wie, może jak w melodramatach znajdę tu jakąś szkatułkę, a w niej skarb... lub może trupią głowę.

I wyjąwszy ukryty przedmiot, zerwała niecierpliwie papier w który był owinięty, wyjęła, otworzyła, i zaczęła przypatrywać się bacznie z ciekawością i przerażeniem zarazem, i nareszcie wydała głośny krzyk oburzenia.

— A niegodziwiec! zawołała, może to jeszcze potworniejsze niż zarzucane mu zbrodnie!

Nie mogła już nawet powątpiewać że znaleziony przedmiot był własnością Henryka Smirt.

Zażądała od odźwiernego adresu dawnego lokatora; następnie wziąwszy arkusz czystego papieru, owinęła w niego znaleziony przedmiot i opieczętowała w niego, poczem zaadresowała do pana Henryka Smirt, dodając pod spodem: „Znalezione w dawnem jego mieszkaniu.”

Zadzwoniwszy na służącego, oddała mu paczkę mówiąc.

— Odnieś według adresu, ale nie oddaj nikomu tylko samemu panu Smirt.

Jak tylko służący wyszedł, margrabina która nie ochłonęła jeszcze z doznanego wrażenia, uznała iż powinna oddać sobie zasłużone pochwały.

— Trzeba przyznać, mówiła sobie, że jestem bardzo dobra i litościwa... Wszak mogłam posłać panu teściowi, była to doskonała sposobność zemszczenia się za jego niegrzeczność i zuchwalstwo... Ale niech tam! jestem tak wspaniałomyślna że nie chcę rozpraszać jego złudzeń... religia nakazuje przecie miłość bliźniego i przebaczenie uraz!

IX.

Przesyłka margrabiny.

Amedina od kilku dni dopiero zaczęła przychodzić do siebie, ale doktór zalecał jak największą ostrożność i troskliwość, albowiem jej wyzdrowienie za cud niemal uważać można było; najmniejsza nieuwaga, a szczególniej najmniejsze wzruszenie, mogły sprowadzić niebezpieczną, śmiertelną może recydywę.

Zdawało się że nic podobnego nie należało się obawiać, gdyż ukochaną rekonwalescetkę otaczano najtroskliwszą pieczołowitością, usuwając z jej drogi choćby najmniejsze nieprzyjemności. Tak dla jej ciała jak i dla duszy usłano jakby puchowe gniazdeczko. Marynka czuwała troskliwie, aby chorobie nie dać przystępu. Takie stare przywiązane sługi są prawdziwą opatrznością rodzin: oszczędność i zabiegliwość Marynki nie mało się przyczyniły do powiększenia majątku pana d'Armangis, zarówno jak troskliwej jej opiece Amedinka zawdzięczała polepszenie jej nader delikatnego zdrowia. Obecnie widząc że ukochana jej wychowanka, staje się codzień silniejszą i rzeźwiejszą, tak była tem uszczęśliwiona i w dobrym humorze, iż całą służbę rozweselała swoją radością, żartowała i śmiała się równie głośno, jak przedtem płakała.

Pan d'Armangis nie posiadał się z radości; tylko uszczęśliwienie męża nie biło jakoś w oczy, nie rozpromieniało twarzy. Chwilami nawet marszczył brwi i zdawał się zakłopotany; zdawać się mogło że z trudnością tylko zdobywa się na czułe słowa wymawiane do żony.

Pomimo tkliwej miłości dla męża, Amedina nie raz pomyślała z westchnieniem:

— Mąż mój ma jeden z tych zamkniętych w sobie charakterów, które radość i szczęście kryją w głębi duszy; promienieją one wewnątrz, nie ujawniając się zewnętrznie... ale wiem że mnie kocha bezgranicznie i że jest niewymownie uszczęśliwiony żem odzyskała zdrowie.

Pan d'Armangis, sam nadzwyczaj serdeczny i uczuciowy, którego charakter tak wielką stanowił sprzeczność z usposobieniem Henryka, dziwił się oziębłości zięcia której pojąć nie mógł. Mówił sobie że radość zięcia jest jakoś dziwnie spokojna; że córka jego warta była goretszego uczucia — ale zbyt był uszczęśliwiony pewnością że Henryk jest uczciwym człowiekiem, aby miał większą przywięzywać wagę do rzeczy drobniejszych.

Amedina zaczęła już wstawać z łóżka; czuła że powoli odzyskuje siły. Uśmiechała się do życia, do młodości, i rzecz ważna, apetyt powracał.

Pewnego dnia Marynka rzekła do niej:

— Ucieszysz się kochaneczko, pani moja... Dziś doktór pozwolił już aby oprócz jajka na miękko, dać ci piersi od kurczątka.

— Ach! jak to dobrze! zawołała Amedina, uczuwająca teraz łakomy apetyt właściwy dzieciom i rekonwalescentom, i cieszących się zarówno z przyobiecanej potrawy czy łakoci — i nic w tem dziwnego — jedne rosną drudzy się odradzają.

— O! Marynko! dodała, i oczy jej zabłysły radością, wiesz ty co ja zrobię?

— Byle nie jaką nieroztropność, odpowiedziała.

— Cóż znowu! czy ja dziecko... Oto widzisz mąż mój i ojciec odeszli przed chwilą mówiąc że podano do stołu.

— Tak, obiadują razem dopokąd ojciec twój nie powróci do siebie, co nastąpi niebawem, gdyż niedługo będziesz zupełnie zdrowa i będziemy mogli cię opuścić... Ale cóż zamyślasz pieszczotko, pani?

— Oto widzisz chcę mój kawałek kurczątka zjeść w towarzystwie męża i ojca.

— Bagatela! zawołała Marynka, co ci się zachciewa — od czasu choroby nie wychodziłaś jeszcze z tego pokoju.

— I dlatego właśnie niecierpię go! zawołała. Takbym pragnęła powrócić już raz do zwykłych nawyknień, jak wtedy gdy byłam zupełnie zdrowa; zdaje mi się że siadając z nimi do stołu, przyśpieszę zupełne wyzdrowienie.

— No, a zresztą na jedno to wyjdzie czy tu czy tam posiedzisz trochę... przygotuje więc wszystko, każe postawić ci fotel i pójdę powiedzieć panu...

— Nie trzeba! zawołała Amedina zatrzymując ją; chcę zrobić im niespodziankę... to właśnie sprawi mi największą przyjemność.

— Cóż mam robić, odrzekła Marynka, to kochane dziecko wszystko we mnie wmówić potrafi.

I młoda rekonwalescentka, ubrana w ów upragniony negliż z białego kaszmiru, zwróciła się ku sali jadalnej, wsparta na ramieniu Marynki.

Przechodząc pokoje w których nie była od czasu choroby, rozglądała się w nich z radością, jakby witając po długiem niewidzeniu. O mało nie mówiła do rozstawionych mebli:

— Witajcie mi, dobrzy przyjaciele, czy poznajecie mnie?

Pan d'Armangis obiadował z Henrykiem, nie zbyt sympatycznym dla niego, choć żadnych już nie żywił podejrzeń, i myślał sobie w duchu:

— Nudna to rzecz obiadować sam na sam z zięciem!

W tem podniosłszy oczy, zobaczył rozsuwającą się portierę salonu, i z pomiędzy draperyi ukazała się śliczna uśmiechnięta jasno-bląd główka, w pięknym białym czepeczku.

— Amedina! krzyknął biegnąc, ku niej i ujmując w objęcia... ty! ty! drogie dziecię!..

— A ja! przychodzę zapraszając się na obiad.

— Czego się to zachciało tej naszej pieszczotce, myśli że podzielimy się z nią obiadem!.. nic z tego, doktór przepisał ścisłą dyetę.

— Nie bój się, ojczulku, nie chcę nic więcej nad ów pozwolony mi kawałek kurczęcia, tylko pragnę zjeść go w waszem towarzystwie, odrzekła, zajmując miejsce między ojcem i mężem.

Henryk zmusił się do uśmiechu i starał się okazywać bardzo uszczęśliwionym z wyzdrowienia żony. W tem ktoś zadzwonił do drzwi przedpokoju, i służący wszedł z oznajmieniem że przybył pan *** w nader pilnym interesie i prosi aby pan Smirt chciał zaraz się z nim zobaczyć.

Henryk wstał aby przejść do gabinetu, mówiąc że wróci za chwilę.

— Nieznośny jakiś natręt! zawołała Amedina.

— Dobrze że przyszedł, pomyślał sobie pan d'Armangis, rad że sam zostanie z córką.

I uszczęśliwiony wpatrywał się w Amedinę, która od tak dawna pierwszy raz siedziała obok niego przy stole.

Jakże to często w życiu naszem miewają miejsce drobne wydarzenia, sprawiające nam niewysłowioną radość! W każdem niemal domowem ognisku obchodzone bywają uroczyste święta serca, nie zamieszczone w żadnym kalendarzu.

— Tak mi już dobrze wyglądasz, da Bóg niedługo zupełnie odzyskasz zdrowie! rzekł pan d'Armangis wpatrując się w córkę.

— Ma się rozumieć! zawołała Marynka; patrz pan tylko, zdaje się że to anioł zszedł na ziemię i zajada kurczątko... Jeźli zdrowie jej tak szybko jak dotąd zacznie się polepszać, to za jakie pare tygodni pomyślimy o przejażdżce i o rozrywce.

Marynka pozwalała sobie mięszać się do rozmowy państwa i tak się z niemi zjednoczyła, iż mówiła zawsze *my*, posługując się tem wyrażeniem będącem przywilejem królów, adwokatów i dawnych sług.

— Ojciec i córka rozmawiali wesoło; pan d'Armangis czuł się niewymownie szczęśliwym. Od czasu choroby Amediny po raz pierwszy jadł z apetytem i nie nudziło mu się siedzieć przy stole — i nie dziw — nie ulobione, choćby najwyszukańsze potrawy rozweselają nam obiad, ale towarzystwo i uśmiech ukochanych.

I znowu dzwonek rozległ się w przedpokoju i za chwilę Marynka wprowadziła jakiegoś służącego pakietem w ręku.

— Czy pan jest pan Henryk Smirt? zapytał zwracając się do pana d'Armangis.

— Nie, pan Henryk Smirt przyjdzie za chwilę.

— Zaczekam więc na niego, gdyż mam rozkaz jemu samemu oddać tę paczkę, rzekł lokaj.

— Zostaw mnie, powiedziała Amedina, oddam mu sama; zresztą wszystko to jedno, ponieważ jestem jego żoną.

— A prawda, odrzekł lokaj, który ożeniony niedawno z ładną dziewczyną, kochał ją namiętnie i przekonany był że w dobrem małżeństwie jeden a jeden to jeden. Zdaje się, dodał, że musi to być coś bardzo kosztownego, niech więc pani raczy pamiętać oddać mężowi.

Położył paczkę na stole i ukłoniwszy się wyszedł, wyprowadzony przez Marynkę.

Amedina obejrzawszy paczkę, spostrzegła i przeczytała napis zamieszczony na niej przez margrabinę: „Znaleziony w dawnym apartamencie pana Henryka Smirt."

— A to dopiero nieuważny! zawołała; ciekawam czego też tam zapomniał.

Rozdarłszy zobaczyła album z fotografiami.

— Ach! jak musiało mu być przykro że album ten mu zginął; zapewne zawiera on fotografie krewnych i przyjaciół. Przysuń się, ojczulku, będziem przeglądać razem.

I pochyleni ku sobie, zaczęli odwracać kartki albumu. Zawierał same tylko kobiece fotografie.

Cztery najpierwsze przedstawiały ładne, silne, czerstwem zdrowiem tchnące dziewczęta. Pod każdą podpisane boło:

„Zdrowie wyborne, budowa silna — zły interes.

Amedina poznała pismo Henryka.

— Co to ma znaczyć? rzekła, nie mogąc sobie zdać sprawy z przykrego budzącego się w niej wrażenia. Zdaje się muszą to być fotografie panien z któremi go swatano... ale jakim sposobem przyszedł do ich posiadania?

Nie wiedziała o tem że wiele osób lubiących zajmować się kojarzeniem małżeństw, nie pytając o pozwolenie dają kawalerom fotografie młodych panien, a to w tym celu aby rozpłomieniać serca w nie się wpatrujących.

— Nie mogę pojąć, mówiła, co znaczy ten dziwny napis położony u dołu?

Następna fotografia przedstawiała kobietę bardzo wątłą i chudą, stanowiącą rażącą sprzeczność z pierwszemi.

— To pierwsza jego żona! zawołała żywo Amedina. Portrety obu żon dość długo wisiały w gabinecie jego: miałam czas im się przypatrzeć.

To powiedziawszy rzuciła okiem na napis pod fotografią, w tejże chwili krzyknęła:

— O! wielki Boże!

I śmiertelna bladość twarz jej pokryła.

Jednocześnie z piersi pana d'Armangis wydarł się krzyk oburzenia i zgrozy, i on także przeczytał umieszczoną pod fotografią następującą finansową i doktorską zarazem adnotacyę:

„Dwa kroć sto tysięcy posagu — rozwinięta choroba sercowa — dobry interes."

Drżąca, rozgorączkowana, zanim ojciec mógł jej przeszkodzić, Amedina odwróciła następną kartę, na której zobaczyła fotografię drugiej żony Henryka Smirt. Twarz była blada, chorobliwa, oczy zapadłe, u dołu napis:

„Cztery kroć sto tysięcy franków posagu — bezkrwistość bardzo rozwinięta — nie zły interes."

Bladość jej twarzy siny przybrała odcień, krew ustępująca z policzków napływała do serca.

— Ojcze!.. ojcze mój!.. krzyknęła rozpaczliwie, więc on dlatego tylko się żenił aby jak najprędzej grzebać swe żony!

Blady z przerażenia, pan d'Armangis chciał jej wyrwać fatalny album, ale biedna trzymała go z gorączkową siłą rozpaczy, i odwróciwszy kartę na następnej zobaczyła własny swój portret, gdyż pani de Villeneuve dała Henrykowi darowaną jej kiedyś przez pan d'Armangis fotografię.

Nieszczęsna Amedina przeczytała u dołu podpis nakreślony ręką Henryka:

„Suchotnica — cztery kroć sto tysięcy posagu— dobry interes!"

— Suchotnica!.. powtórzyła—a więc muszę umierać... i oto dlaczego mnie wybrał!.. on!.. on!..

I jakby piorunem rażona, przechyliła się z krzesła.

Jakoż żeniąc się z panną d'Armangis, Henryk obliczył sobie korzyści jakie związek ten mu zapewnia. Wszystko kazało wnosić że choroba piersiowa rozwinięta od lat dziecinnych nie pociągnie się długo, prędko więc odziedziczy spadek, a ufny w swe żelazne zdrowie i Herkulesową budowę, nie obawiał się przejęcia suchot, tem więcej że pożycie ich pewnie nie potrwa długo.

Właśnie w chwili gdy Amedina padła zemdlona, Henryk wracał do pokoju z uśmiechem na ustach.

— Nędzniku! krzyknął pan d'Armangis, biegnąc ku niemu wściekłym uniesiony gniewem.

Widok zmienionej strasznie twarzy i błędne spojrzenie jego, przeraziły Henryka, cofnął się pytając:

— Co się stało?

— Czy znasz to album? zapytał pan d'Armangis.

Henryk spojrzał i drgnął poznawszy swoje album.

— Moje album! zawołał którego tak szukałem... Ale cóż za fatalizm...

— A! miałem więc słuszność że sam czuwałem nad córką nie chcąc jej twojej powierzyć opiece, mówił pan d'Armangis wpatrując się w niego z dziką wściekłością; a gdy rozpowiadano żeś otruł dwie pierwsze swoje żony...

— Panie! przerwał Henryk z oburzeniem.

— Wiem, wiem, mylono się, potwarzano cię, mówił z strasznem szyderstwem — ale mimo to jesteś wstrętniejszym jeszcze niegodziwcem. Spekulujesz na chorobę i śmierć nieszczęśliwych żon twoich, i w tem duchu układasz umowy przedślubne, wiedząc że ich przeżyjesz i nie długo na spadek czekać będziesz. Mówiąc im o miłości, myślisz o ich pogrzebie. Obłudny zbrodniarz, liczysz na bezkarność, mając pewność że prawo dosięgnąć cię nie zdoła... prowadzisz handel chorobami i śmiercią... jesteś nędznik!.. niegodziwiec!..

Czegożby w tej chwili nie dał Henryk Smirt, gdyby mógł oburzyć się i odtrącić to oskarżenie jako niecną zniewagę, — musiał jednak znieść straszne to upokorzenie, nie mogąc nic powiedzieć na usprawiedliwienie swoje. Tłumiąc złość i gniew zdołał tylko wyszeptać:

— Ale cóż się stało?.. niechże się dowiem jakim sposobem...

— Spojrz na żonę swoją, odrzekł pan d'Armangis — znalazła swoją fotografię w twoim albumie.

I wskazał mu zemdloną Amedinę.

— Ach! krzyknął Henryk spojrzawszy na nią.

— A! to okrzyk radości!.. wszak tak?.. rzekł dziko nieszczęśliwy ojciec..: Ciesz się, ciesz! może i tym razem nie zawiedzie cię wyrachowanie.

— Panie!.. panie!.. wołała Marynka, starająca się ocucić Amedinę... O! mój Boże!.. panie!.. zdaje mi się że serce bić przestało!

— Amedino!.. dziecię moje!.. wołał nieszczęśliwy ojciec, padając przy córce na kolana.

Po chwili zerwał się wściekły, oszalały rozpaczą, i przyskakując do Henryka, krzyknął:

— Zabiłeś ją, nędzniku!.. cios ten przeszedł jej siły!..

I sam nie wiedząc co robi, pochwycił go za gardło, ściskając kurczowo z zaciśniętemi rękami, i byłby zadusił, gdyby, znacznie silniejszy Henryk nie wyrwał mu się i nie odepchnął.

Marynka zanosiła się od płaczu, wołając:

— Boże, mój Boże!.. ani drgnie... może już nie żyje!..

X.

Turyści w Etretat.

Rok upłynął. Było to w środku lata; Paryżanie rozkoszowali się wiejskiemi przyjemnościami. Zabawiano się wycieczkami w pole i do lasu; wyjeżdżano do wód do Spa, Aix-les-Bains, dla wypicia kilka szklanek wody, które obliczywszy koszta podróży kosztują po pare tysięcy franków, a wszyscy podzielający upodobania trytonów i nimf wodnych pośpieszali do morskich kąpieli.

Etretat owa śliczna miniatura miasta, zakrawająca z oddali na dekoracyę opery komicznej, było przepełnione turystami. Liczba używanych morskich kąpieli, tak była liczną jak stada mew unoszących się po nad falami wybrzeży.

Etretat nie przybiera pańskiej i ceremonialnej miny, jak wielkie jego siostrzyce kąpielowe morskie miasta, przedstawia się nawet bardzo potulnie. Ramy jego tak szczupłe, iż objęci niemi zniewoleni są uważać się jakby za jedną rodzinę. Zawiera się znajomości, zawiązuje szkice przyjaźni, ręce są tak blizko siebie, iż jeźli tylko się nie drapią, muszą nareszcie uścisnąć się życzliwie.

Pewnego poranku, między dziewiątą a dziesiątą, właśnie gdy zaczyna się przechadzka po morskiem wybrzeżu, turyści zabawiali się widokiem kąpiących się w morzu. Panowie Zephire ojciec i syn, ci słynni przewodnicy kąpielowi, byli w swoim żywiole. Warto było widzieć z jaką eleganceyą trzymali damy za rękę biegnąc z niemi do morza, pomagali podskakiwać na falach, a niekiedy nawet unosili je własnemi rękami, z lekkością godną ich nazwiska. Musimy dodać że rodzina ta nie ma nic wspólnego z rodziną akwilonów, znanej ze swej gwałtowności, które zamiast dopomagać paniom biorącym morskie kąpiele, aby lekko unosiły się i podskakiwały na falach, wrzuciłyby je w wód otchłanie.

Ciekawi i ciekawe roiły się na wybrzeżu; inni zasiadali na krzesłach jakby w Tuileries lub na polach Elizejskich. Niektóre panie zajęte były jakąś robótką, inne tylko rozmawiały, a przecież nie można powiedzieć że były bezczynne, bo języki ich poruszały się tak prędko i tak były kolące jak igły pracownic — i ta jedyna zachodziła różnica, że je

zyki psuły reputacyę bliźnich, a igły zapełniały tło pięknym haftem.

Tam gdzie dużo mówiono, spotykamy margrabinę de Forgy. Przybyła z mężem na sezon do Etretat, i codziennie siadała na wybrzeżu dla rozrywki i pogawędki. Musiała wiedzieć o wszystkiem co zajść mogło, poznawać nowo-przybyłych, dowiedzieć się ich biografii. Między innymi bawił także w Etretat wicehrabia de Préfleuri, ów *zdechlaczek* co to zapłacił czterdzieści franków za tę przyjemność że margrabina zapięła mu rękawiczki. Jak w Paryżu po bulwarach, tak tu na morskiem wybrzeżu, prezentował swoje lakierowane buciki i swoje śmiesznostki. Pośpieszył pozdrowić margrabinę, która powitała go bardzo miłym uśmiechem, w tej nadziei że obedrze go znów kwestując dla biednych lub sprzedając w bazarze na dobroczynność. Wicehrabia wziął krzesło i usiadł przy niej.

Rozmawiając z panią de Forgy, bawił się lekkim słomkowym kapeluszem, który wydał mu się więcej malowniczym od zwykłego paryzkiego; czynił co mógł aby zwrócić uwagę na swój letni kostium; przewracał oczy i robił różne miny mające dać margrabinie do zrozumienia: „Ach! jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł ci się podobać!”

— Tak więc pani margrabina nie przeniewierza się pięknemu Etretat, co w tym roku cieszy mnie niewymownie, ponieważ mam zaszczyt ją tu spotkać, rzekł wicehrabia.

Co chwila powtarzał tytuł margrabiny, podnosząc głos gdy go wymawiał, a to w tym celu aby wszyscy dowiedzieli się jak wysokie ma stosunki. Pani de Forgy wywzajemniając się, tytułowała go wicehrabią.

— Śliczna to rzecz morze, mówił, nosi na sobie jakieś piętno... piętno... wszak prawda pani margrabino?

— Piętno wszechmocy Bożej, panie wicehrabio.

— Ach! jak to pięknie powiedziane!.. Pani margrabina musi lubić morze, dodał z galanteryą, jego fale mają kolor jej oczu.

— Czy tak! odpowiedziała pani de Forgy, bardzo chełpiąca się z tego że była brunetką a oczy miała niebieskie. Doprawdy, nie bardzo jesteś grzeczny, wicehrabio, więc według pana mam oczy zielone czy szare?

— Ach! pani margrabino, przecież morze jest niebieskie; ileż to razy śpiewałem modne romansowe pieśni o błękitnych jego falach.

— A! śpiewał pan o tem!.. bardzo mnie to cieszy proszę przypatrzeć się pan dobrze morzu.

Wicehrabia wyjął lornetkę i zaczął impertynencko przyglądać się morzu, jakby jakiejś piękności z pół świata.

Rzecz prosta, morze oburzyło się i rozgniewało, i unosząc się rzuciło mu w twarz spienioną falę. Musiał powstrzymać lornetkę którą wiatr o mało co nie uniósł, i nie bardzo zadowolniony, rzekł do margrabiny:

— Miała pani margrabina słuszność; morze nie może się pochlubić ani błękitem jej oczu, ani harmonijnym dźwiękiem jej głosu. Ale cóż robić, kiedy pomimo wad swoich jest ono w modzie — i koniecznie raz na rok jechać do niego trzeba. Dobry ton każe je znosić.

— Nosić! powiedziała śmiejąc się margrabina, przekręcając umyślnie ostatni wyraz, byłoby to zatrudne zadanie... Morze to raczej unosi na falach swoich, nietylko kąpiących się ale i okręta.

— A! pani margrabina zawsze lubi żartować sobie... Ja bo bardzo lubię piękną przyrodę... lubię morze... podziwiam wielkie skały Etretat'u (w porze kąpielowej), wszystko to bardzo piękne... bardzo udatne.

— Doprawdy!.. a to wybornie!.. dopieroż to Pan Bóg się ucieszy że zdołał zadowolnić pana wicehrabiego i zyskać jego uznanie.

— Ach! zawołał nagle wicehrabia, oto przyjaciel mój przechodzi nad wybrzeżem; raczy pani margrabina pozwolić że opuszczę ją na chwilę aby się z nim przywitać. Trzeba przyznać że wyniosła jego postać, szary ubiór, gęste rozwiane włosy i czarna broda, wszystko to razem doskonale pasuje do krajobrazu... Ale co prawda, wolę mojego krawca... jego nie jest tak pański.

— Jakto! krzyknęła margrabina, patrząc z drżeniem na pięknego wskazanego jej turystę—więc on jest tutaj!.. A!.. czyż już wszędzie spotykać go muszę!..

— Więc pani margrabina go zna? zapytał wicehrabia.

— Tak; jestto pan Henryk Smirt, ów straszny wdowiec.

— Ach! nazywa się Henryk Smirt, jest wdowcem i do tego strasznym... Jakie to oryginalne!..

— Jakto? zawołała śmiejąc się pani de Forgy, jestto przyjaciel pana, a nie wiesz ani kim jest, ani jak się nazywa?

— Ach! pani margrabino, odpowiedział, alboż znamy nazwiska przyjaciół napotykanych u wód lub w kąpielach morskich? Spotykamy się na promenadzie, rozmawiamy, palimy cygara, razem bierzemy kąpiel i codziennie na wybrzeżu podajemy sobie ręce — ale najczęściej nie wiemy z kim mówimy. Nazywamy się wzajemnie: „pan w białym kapeluszu” „pan w szarym paltocie” ale nazwiska nie są przecie wydrukowane na twarzach jak na biletach wizytowych. Zaznajamiamy się z nudów i dla tego że ludzie nie mogą się obejść bez towarzystwa, ale podobnych przyjaciół bierze się na parę tygodni lub na miesiąc, jak abonament w kasyno... Jednak jeśli zdarzy się sposobność, wtedy z przyjemnością dowiadujemy się nazwiska naszego przyjaciela... Więc mówi pani że on nazywa się Henryk Smirt i jest wdowcem?

— Więcej jak wdowcem! odpowiedziała margrabina. Jest on... jakby to powiedzieć?.. Mamy w słowniku wyrazy *pradziad*, *prapradziad*, ale pomimo znanej niestałości męzkiej, nie przewidziano że jeden mężczyzna może żenić się kilka razy, i w żadnym dykcyonarzu nie ma wyrazu *dwuwdowiec* lub *trzywdowiec*. Otóż pan Henryk Smirt jest potrójnym wdowcem, gdyż zapewniano mnie że trzecia jego żona już umarła. Gotowabym się założyć że ten Sinobrody przybył tu w celu...

Nie dokończyła, Henryk Smirt przeszedł tuż koło nich.

— Gdyby wiedział, pomyślała, że to ja zajęłam uprzednio zamieszkiwany przez niego lokal, odkryłam jego tajemnicę i odesłałam mu ohydne jego album, oczy jego ciskały błyskawice któremi pragnąłby zabić mnie na miejscu jak piorunem.

Henryk przeszedł nie spojrzawszy na nią, a wicehrabia pragnący poznać jak najprędzej historyę żon pana Smirt, pożegnał margrabinę i pobiegł za Henrykiem, w zamiarze wybadania go podczas przechadzki.

Pani de Forgy była bardzo niezadowolniona z jego oddalenia, gdyż tym sposobem pozbawiał ją przyjemności opowiadania tak szczęśliwie pochwyconej tajemnicy. Chcąc sobie to wynagrodzić, poszła przechadzać się po wybrzeżu i szukać chętnych uszów do wysłuchania okropnej historyi truciciela żon swoich.

— Gdzie idziesz? zapytał wicehrabia biorąc pod rękę Henryka; w którą zmierzasz stronę?

— W stronę *Kotła djabelskiego* odpowiedział Henryk Smirt, a mówiąc to miał taką minę jakby był najbliższym krewnym jego diabelskiej mości.

— Pójdę z tobą, rzekł wicehrabia; lubię bardzo przebiegać urwiste wybrzeża i podziwiać piękne skały Etretatu... Doprawdy śliczna to rzecz te morskie brzegi!..

— Wydają się panu śliczne? jabym raczej powiedział że te urwiste wybrzeża i skały są groźne i przerażające. Ta mała plaża Etretatu, otoczona niezmierzonemi skałami, wygląda jakby wiotka zaczarowana księżniczka, strzeżona przez olbrzymów.

— Masz słuszność, źle się wyraziłem mówiąc że to śliczne... tak, jestto raczej przygniatające.

Ale w tej chwili wicehrabia nie troszczył się o skały, wybrzeża i urwiska, pragnął jedynie tak nakręcić rozmowę, aby mógł zadać Henrykowi Smirt upragnione pytania.

XI.

Zemsta.

Na nieszczęście Henryk nie był wielomownym i zbywał wicehrabiego nader krótkiemi odpowiedziami.

— Uważałem że zawsze prawie samotne odbywasz przechadzki, rzekł wicehrabia.

— Tak, prawie zawsze.

— Czy nikt z przyjaciół ci tu nie towarzyszy?

— Nie mam przyjaciół.

— Może jaka przyjaciółka?

— Nie mam żadnej.

— To może przyjechałeś z żoną?

Henryk drgnął. Wicehrabia był pewny iż i tym razem odpowie mu: „Nie mam już żony,” i obiecując sobie że uda mu się wyciągnąć go na słówka, gotował się już do słuchania jego zwierzeń. Ale Henryk Smirt milczał, a z twarzy jego można było wnosić iż zapytanie to wywołało jakieś przykre wspomnienie.

Wicehrabia powtórzył pytanie:

— Więc jesteś tu z żoną?

Henryk Smirt zniecierpliwiony odrzekł tylko:

— Ale nie!

— Natarczywy wicehrabia, rzekł znowu.

— Tak! więc zapewnie jesteś kawalerem.. a może wdowcem?

I tym razem Henryk drgnął widocznie; spojrzał bystro na wicehrabiego aby wyczytać z jego twarzy czy ma jakiś cel zadając mu to pytanie, i czy zna jakie szczegóły z jego niezbyt budującego życia, ale uspokoił się niebawem nie widząc w niej nic prócz doskonałego zadowolnienia z siebie. Wzruszył lekko ramionami i pomyślawszy że ma do czynienia z nieszkodliwym i ciekawym paniczykiem, odpowiedział:

— Powiedziałeś że jestem wdowcem... jak to rozumiesz?

— Jak? odrzekł wicehrabia, ale zdaje mi się że nie można tego tłómaczyć inaczej, jak tylko iż wdowcem jest ten kto stracił żonę.

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 18.

N. 1 i ryc. 34 w N. 19 Tygodnika Mód. Ubranie spacerowe z krótkim płaszczykiem. Wskazanie kroju płaszczyka na dodatku z krojami fig. 88.

Model ubrania odrobiony był z czarnego kaszmiru i czarnej materyi zwanej „ottoman“; falbany naprzemian wązkie i 26 cent. szerokie, podszywa się muślinem, a pod te które są wycięte w zęby daje się z brzegu wązką listewkę z materyi. Vêtement mające z przodu 168 cent. długości dopełniają z tyłu bryty proste, 160 cent długie, suto, bufiasto upięte. Do wykroju szyi mającego 56 cent. obwodu, formę ramion nadaje się przez zaszycie pięciu fałdek oznaczonych cienkiemi kryskami na modelu; otwór na rękawy oznaczony jest dwoma linijkami, rękawy układa się w poprzeczne fałdy z materyi, na prostym kawałku podszewki, mającym 20 cent. długości a 40 szerokości i zdobi ranwersem aksamitnym, naszytym pasmanteryą dżetową. Końce szalowe przefałdowane w miejscach oznaczonych krzyżykami i kropkami zapinają się na haftki. Plecy mają u dołu rozporek, nad którym zaszyte są w kontrafałdę. Kapturek spiczasty zdobi ranwers aksamitny naszyty dżetem. Do wyciętego w zęby brzegu płaszczyka przyszywa się od spodu falbanę z materyi „ottoman“.

N. 2. Ubranie z płaszczykiem dolmanowym.

Przód sukni z materyału wełnianego w drobną kratę, zdobią trzy wolanty, w kontrafałdy układane, oszyte plisą aksamitną; z tyłu daje się upięcie z prostych brytów. Płaszczyk znaną dolmanową formą, zrobiony był z materyału tureckiego, na jasnej jedwabnej podszewce, i oszyty plisami aksamitnemi.



Ubrania spacerowe.

N. 1. Ubranie z krótkim płaszczykiem. Patrz ryc. 34 w N. 19. Wskazanie kroju na arkuszu N. XVIII, fig. 88.

N. 2. Ubranie z dolmanem.

N. 3—4 i r. 1—2 w N. 19. Kołnierz dziecinny, ozdobiony kolorowem wyszyciem.

Kołnierz robi się z prostego kawałka kanwy kongresowej, mającego 12 cent. szerokości, a 58 długości, zakończonego obrębem 3 i pół cent szerokim, na którym wyszywa się szlaczek, lub oddzielne gałązki, ściegiem krzyżowym, pojedyńczym lub płaskim, bawełną białą lub kolorową. Wykrój pod szyją przemarszcza się do potrzebnej objętości a brzegi oszywa koronką 4 c. szeroką. Stosowne deseniki dajemy na ryc. 1—2 w N. 19.

N. 5. Szlak kolorowy do sukien letnich. Haft gobelinowy na taśmie kanwowej i robota szydełkowa z nici alzackich N. 50, w kolorze écru i bronzowym lub białych i do koloru sukni dobranych.

N. 6—7. Serwetka. Haft krzyżowy i gobelinowy.

Serwetka trzymająca 44 c. w kwadrat, robiona była na kanwie kongresowej, różnokolorową dwunitkową filozelą. Na ryc. 6 dajemy deseń szlaku a na arkuszu z krojami deseń rzutu na tło, z oznaczeniem kolorów filozeli. Pod serwetkę dana jest kolorowa jedwabna podszewka z wystającym w koło obrębem 4 c. szerokim.

N. 8—9 i r. 35 w N. 19. Ubranie spacerowe z pelerynką. Model pelerynki na arkuszu z krojami Nr. X, figura 58a.

Suknię odrobioną z kaszmiru żółtawo bronzowego (couleur sandale) zdobiły koronki grubo wywodzone kremowe 7 cent. szerokie, naszyte gładko na aksamicie ciemniejszego niż suknia koloru. Na plisowany wolant spódnicy 40 cent. szeroki, zachodzi draperya aksamitem i koronką ozdobiona. Draperyę przednią układa się z bryta szerokiego, z jednej strony sfałdowanego w sposób wskazany na ryc. 9, z drugiej tylko trochę przyfałdowanego, a w górze dopełnionego rodzajem panier, ułożonego z 35 cent. szerokiego kawałka kaszmiru. Sutą tylną draperyę upina się z bryta 150 cent. szerokiego. Ryc. 9 przedstawia suknię bez pelerynki, ze stanikiem ubranym aksamitem i koronką, a ryc. 35 w N. 19, przedstawia z przodu ubranie z pelerynką.

N. 12. Czepeczek negliżowy. Forma czółka na arkuszu z krojami N. XVI, fig. 86.

Do czółka objętego w koło agremanem, przyszywa się gładko denko tiulowe, 12 cent. długie i tyleż szerokie, w górnych rogach zaokrąglone. Z przodu na czółku naszyta jest w dwa, jeden na drugi zachodzące rzędy, koronka plisowana, 5 cent. szeroka. Z tyłu do brzegu denka tiulowego, przyszywa się koronkę plisowaną 8 cent. szeroką w górze poszerzoną jeszcze paskiem cienkiego tiulu, na którą spada druga wązka koronka. Zwierzchnie denko stanowi kawałek czarnego aksamitu, trzymający 18 c. w kwadrat, z dwóch brzegów trochę przyfałdowany i do czółka przyszyty; na przednim rogu kwadratu upięta jest ozdobnemi szpileczkami, kokarda z koronki zeszytej na dwie strony. Do wiązania służą wązkie, ponsowe atłasowe wstążki.

N. 13, 17—18 i 36—40. Fasony kapeluszy wiosennych.

W N-rze bieżącym i w następnym dajemy bardzo wiele fasonów kapeluszy i wskazujemy różne rodzaje ubrania, wśród których łatwo dobrać można stosowne do każdej twarzy i wieku. Dodamy tylko że do kapeluszy używane są przeważnie wstążki wązkie, często w dwóch cieniach, z których pukle i końce układane są w duże rozety zastępujące pompony; duże bukiety kwiatów lub jagód i liści zdobione są chrabąszczami lub pięknie malowanemi motylami, nie mniej modne są pióra i wstążki różnokolorowe aksamitne. Obok koronki złotej, wielkiej używają wziętości czarne koronki Chantylly, tak do przyozdobienia z wierzchu jak i do podgarnirowania pod ronda odstające w górę nad czołem.

N. 14. Szlak do serwet, poduszek i t. p. Haft krzyżowy i ściegiem pojedyńczym na dwie strony, na tle z płótna kanwowego lub na kanwie kongresowej, bawełną lub jedwabiem kolorowym tureckim.

N. 15. Urządzenie turniury przy spódnicy od sukni. Krój na dodatku z formami do N. 44 i 45 z r. 1882, fig. 9.

Bufiaste i bardzo suto odstające upięcia tylnych draperyi, wymagają odpowiednich wewnętrznych urządzeń spódnicy. W tym celu pod bryty tylne podszywa się listewki widoczne na ryc. 15, w które nawłóczy się do ściągania stalki około 40 cent. długie, a do ich końców przyszywa się taśmy elastyczne na metalowe agrafki zapinane, utrzymujące półkolistą wypukłość stalek; oprócz tego pod puf górny bywa dodawane wysłanie z włosiennicy.

N. 19—24. Agrafy pasmanteryjne i guziki.

Wszelkie pasmanteryjne ozdoby ciągle bardzo są używane do przystrojenia sukien i okryć. Na ryc. 19 i 20 podajemy dwie świeże formy agraf szmuklerskich, ozdobionych dżetem lub perełkami, służących do przepięcia kokard a na ryc. 21 i 22 dwa rodzaje odpowiednich szmuklerskich guzików. Ryc. 23 i 24 przedstawia dwa wielkie ażurowe metalowe guziki.

N. 28—31. Teka na papiery. Haft złotem.

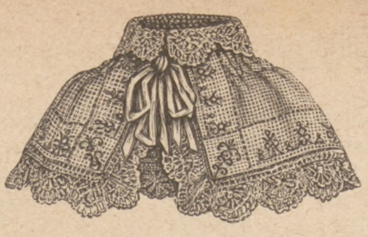
Ryc. 31 przedstawia w naturalnej wielkości, trochę więcej jak $1/4$ część deseniu do haftu złotem, któren z łatwością może być zmniejszony lub powiększony i zastosowany na patarafkę, poduszę lub t. p. Do oznaczenia konturów służy cienki kręcony sznureczek złoty, wyglądający jak gruba okręcana nitka, a haft odrabia się nićmi złotemi. Pod haft podkłada się nici szpagatowe ułożone równo, mniej lub więcej wypukle, sposobem wskazanym na r. 29 i 30; do haftu służą 4 nitki złote przeszywane ściegiem stębnowanym, jedwabiem złotego koloru. Na tło służyć może atłas lub aksamit.

N. 37. Paletocik wcinany z kamizelką. Model kroju N. XVII, fig. 87 i 87a.

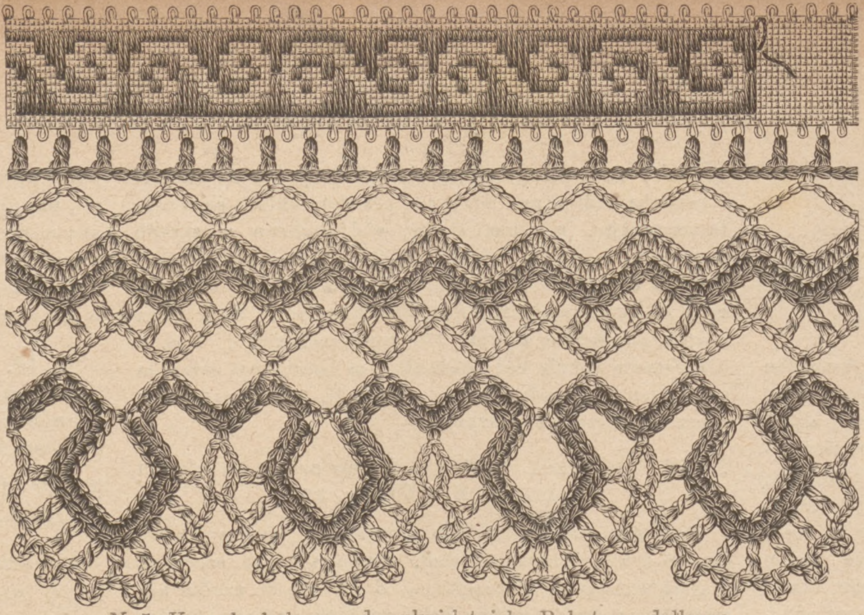
Paletocik przykroić można podług formy danej na arkuszu z krojami N. IV a potrzebne zmiany oznaczone są kropkowanemi linijkami na modelu N. XVII. Zwracamy uwagę na przedłużenie ramion w górze i wyższy wykrój szyi, zastępujący tak dziś upowszechnione listewki kołnierzowe. Model i miary części kamizelkowych dochodzących do wcięcia w pasie, zapiętych na kryte haftki, oznaczamy literą *a*, zaś długość i szerokość przodów na ranwers wywiniętych, wskazana jest na części *b*. Model paletocika odrobiony był z tego co suknia grubego, wełnianego materyału, w ciemno bronzową kratkę; ranwersy, mankiety i pasek, między boczne szwy wszyty, z aksamitu ciemno bronzowego. Guziki i klamry metalowe.

N. 38 i ryc. 16. Krótki paletocik. Krój N. XII, fig. 63—67.

Paltocik z materyału zwanego „Jersej“, miał brzegi, patki i mankiety objęte pletnią wełnianą, która podwójnie złożona, naszyta była dwa razy na kołnierzu; szew środ-



N. 3. Kołnierz dla dziecka. Patrz ryc. 4. Szlaczki patrz ryc. 1—2 w N-rze 19.



N. 5. Koronka kolorowa do sukni letnich. Robota szydełkowa.



N. 4. Kołnierz dla dziecka. Patrz ryc. 3 tudzież ryc. 1—2 w N. 19.

kowy i szwy boczne pleców zeszywa się tylko do *n* i *p* a dalej zostawione luźno tworzą rodzaj patek.

N. 43. Szlak do patarafek, serwetek i t. p. Aplikacya i haft płaski.

Na tle aksamitnem, atłasowem lub sukiennem, aplikacya dana być może z atłasu, brokateli lub repsu. Kontury figur oszywa się sznureczkiem złotym a listki i supełki haftuje się nitką złotą albo srebrną.

Opis do N. 19.

N. 1—2. Szlaczki do ryc. 3 i 4 w N-rze 18.

N. 3—4. Paletocik z kapturkiem, dla dziewczynki lat 3—5. Krój i deseń na arkuszu Nr. XV, fig. 78—85.

Łatwy krój paletocika nie wymaga opisu, materyał dodany przy pleckach zakłada się i zaprasowywa w fałdę zwróconą pod spód. Kapturek wyłożony w środku marszczonym atłasem jest od punktu do dwukropka sfałdowany do 7 cent. szerokości. Model był uszyty z piaskowego sukienka i wyszyty takimż sutaszem, podług deseniu figury 43 do 48.

N. 5—7. Koszyczek do robót ozdobiony haftem serbskim. Deseń wyszycia na arkuszu, fig. 90.

Koszyczek pleciony z bronzowej trzcinki, w formie podłużnego kwadratu, liczy 24 nitek długości, 13 wysokości a 22 średnicy, ma boki wewnątrz powleczone marszczonym bronzowym atłasem, a denko pokryte płótnem kanwowem, wyszytem ściegiem serbskim. Ścieg ten jest łatwy w robocie a dobrze się odznacza; wyszywa się rzędami tam i napowrót podług ryc. 6, włóczką hamburgską skręconą we dwoje podług ryc. 7. Z wierzchu koszyczka dodane kolorowe pompony.

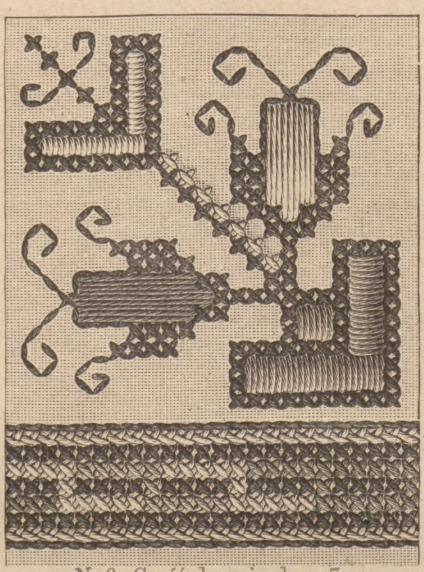
N. 10—13. Ubrania żałobne.

N. 10—11. Suknia ze stanikiem z baskiną.

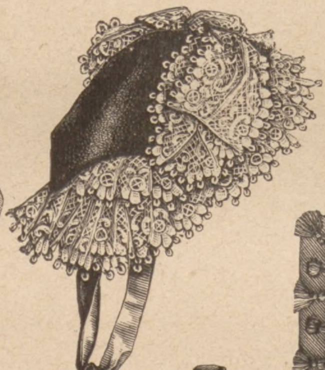
Suknia czarna kaszmirowa przybrana u dołu dwoma marszczonemi falbanami, po 15 cent. szerokości, naszytemi kilkakrotnie wąską pliską, nad któremi dane plisy zakładane w fałdy, 7 c. szerokie. Na przednią połowę draperyi, potrzeba bryta 130 c. długiego 100 szerokiego; tylne upięcie dane z bryta 140 cent. długiego. Bas-



N. 8. Ubranie spacerowe z pelerynką. Patrz ryc. 9 tudzież ryc. 35 w N-rze 19. Krój peleryny na arkuszu N. X, f. 58a.



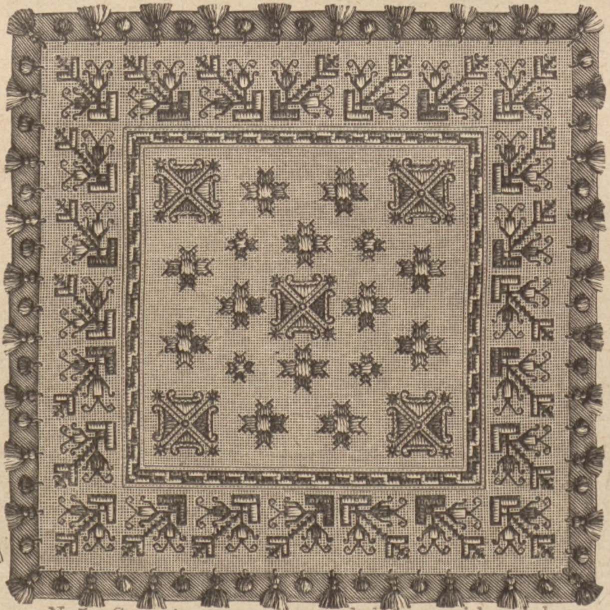
N. 6. Część deseniu do r. 7.



N. 12. Czepeczek negliżowy. Krój na arkuszu Nr. XVI, f. 86.



N. 9. Przód do ryc. 8.



N. 7. Serweta z wyszyciem gobelinowem i krzyżykowem. Patrz ryc. 6 i fig. 91—93.



N. 13. Kapotka słomkowa zdobna riuszą i bufką z materyału, surah koloru feu i bukietem kwiatów. Patrz r. 39.



N. 11. Przód do ryc. 10.



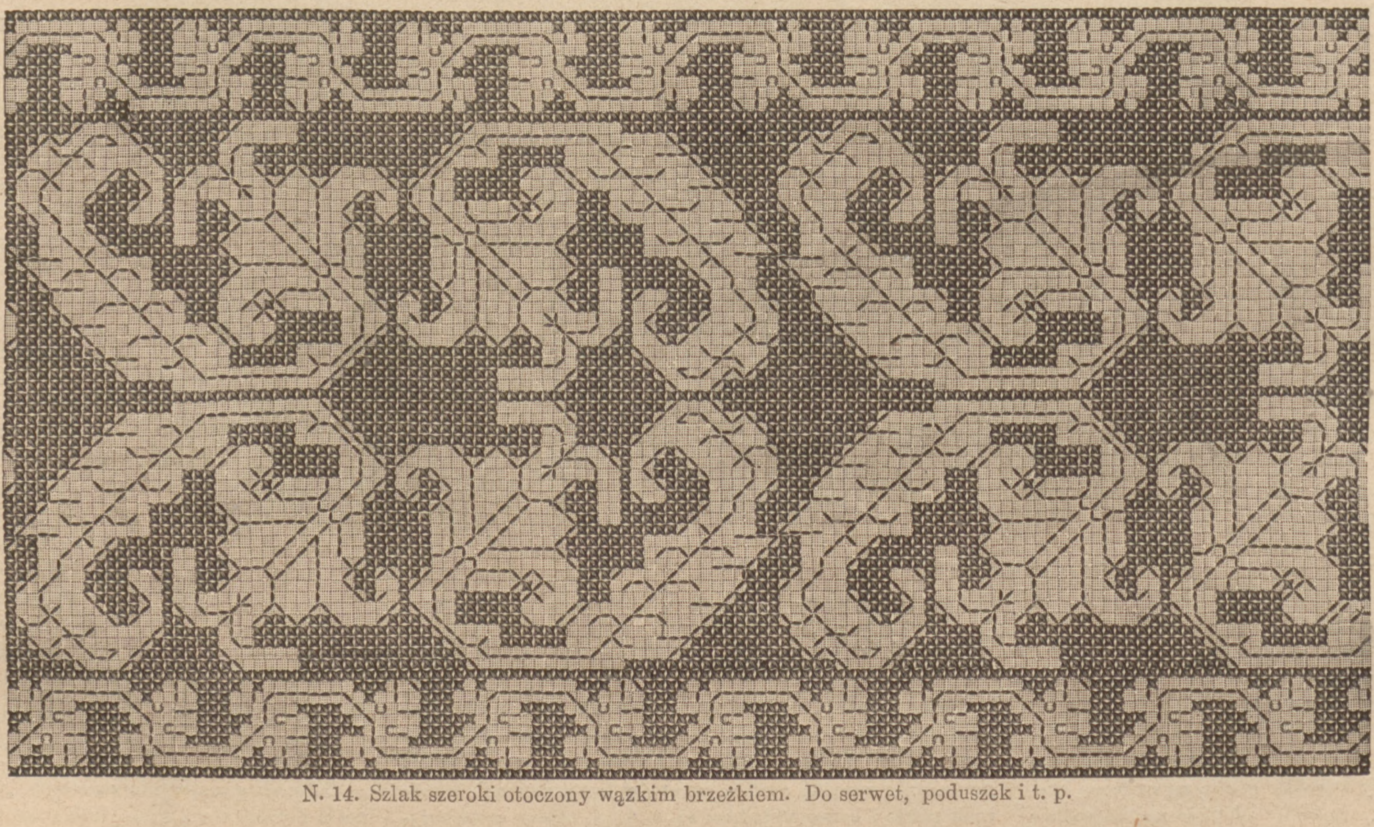
N. 10. Suknia ze stanikiem z baskiną i draperyą. Patrz ryc. 11. Krój i opis na arkuszu N. IX, fig. 49—55.



N. 15. Urządzenie turniury z wewnątrz sukni.



N. 16. Krótki paletocik. Patrz ryc. 38 Krój na arkuszu N. XII, fig. 63—67.



N. 14. Szlak szeroki otoczony wązkim brzeżkiem. Do serwet, poduszek i t. p.

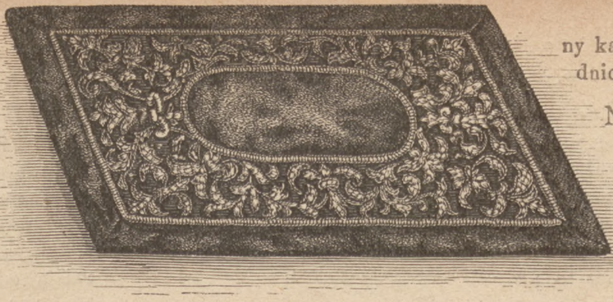
kina przy plecach zmienia się w fałdowane karoczko; na staniku dana plisowana kamizelka dopełniona z boków ranwersami.



N. 17. Kapelusz słomkowy zdobny kokardami z aksamitki i kwiatami. Patrz ryc. 40.

N. 12. Suknia z przypinanym trenem. Patrz r. 25 w N. 18.

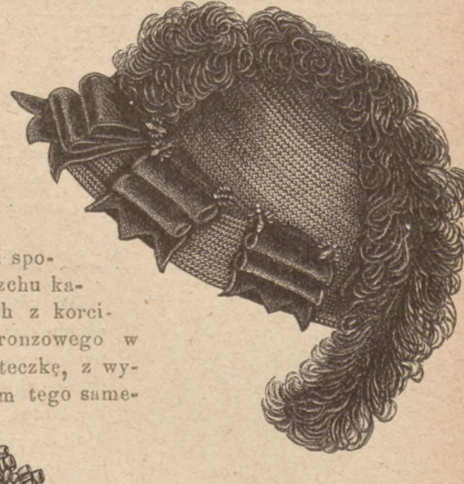
Przód i boki sukni pokryte są angielską krepą, zaś stanik, draperya i dolna falbana 15 cent. szeroka jest z kaszmiru. Draperya z przodu tworzy upięcie à panier całe fałdowane, z tyłu zaś składa się z bryta prostego 118 cent. szerokiego, 130 długiego, podpiętego w trzy duże bufy. Tren u dołu pokryty krepą, w górze złożony z bufy kaszmirowej, urządzony jest do przypinania i szyje się na podstawie ze sztywnej merli, 84 cent. długiej a 90 szerokiej; górny brzeg (jak to widzimy na r. 25 w N. 18) wszyty w pasek, w którym obrabiają się dziurki; odpowiednie do nich guziki przyszywa się do sukni; z boków u dołu sukni dane są drugie guziki do przytrzymania trenu. Stanik przybrany szalowym kołnierzem ma z tyłu karoczko fałdowane 45 c. długie a 74 szerokie.



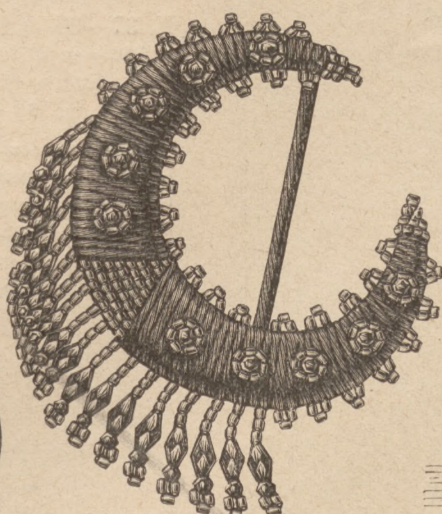
N. 28. Teka do papierów. Haft złotem. Patrz r. 29—31.



N. 25. Tren do sukni żałobnej ryc. 12 w N-rze 19.



N. 18. Kapelusz słomkowy zdobny puklami z szerokiej aksamitki, przepięciami stalowemi i długiem piórem.



N. 19. Agrafka szmuklerska w kształcie półksiężyca, do ryc. 51 w N. 19.



N. 26. Stołeczek. Patrz r. 27.



N. 20. Kotwica szmuklerska do kokard. Patrz ryc. 52 w N. 19.



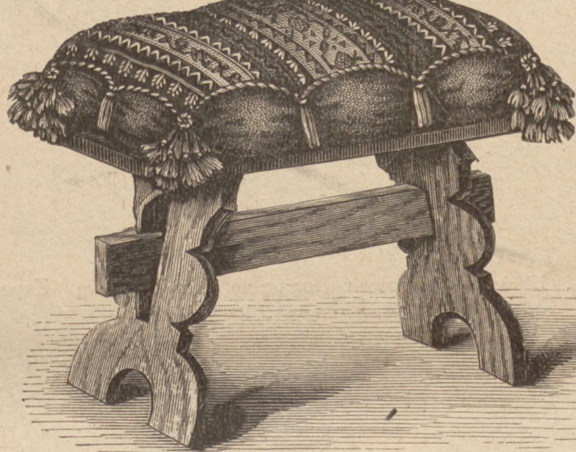
N. 21. Guzik szmuklerski.



N. 22. Guzik szmuklerski.



N. 23. Guzik ażurowy oksydowany.



N. 27. Stołeczek z poduszką. Patrz r. 26.



N. 24. Guzik ażurowy złocony.

N. 13. Suknia ze spódnicą plisowaną.

Spódnica w całej długości zaplisowana jest w fałdy 4 cent. szerokie a z jednego boku zdobi ją 20 c. szeroka kontrafałda, wyszyta sutaszem, pasmanteryą, ozdobiona haftem lub kokardami z krepy czy z wstążki. Draperya przednia zachodząca na siebie z boku układa się z dwóch brytów, 50 i 70 c. długich, około 60 szerokich, które składają się z jednego brzegu w ścisłe fałdy i przyczepiają na spódnicy podług ryc. 13. Tylne brzegi brytów zachodzą pod krótką bufiastą draperyę tylną na którą trzeba dwóch brytów po 65 cent. szerokich, 109 długich. Stanik z przodu 33 cent. długi, z tyłu dopełniony karoczkiem, ozdobiony jest wyszyciem odpowiednio do spódnicy; kołnierzyk i mankiety aksamitne ogarnirowane krepą.

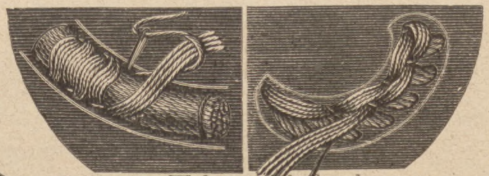
N. 15—16 i 18—20. Ubrania dla dzieci.

N. 15. Ubranie dla chłopczyka lat 2—4.

Składa się z sukienki, majteczek i spodniego staniczka z naszytą z wierzchu kamizelką uszytych z korciku letniego bronzowego w drobniutką krateczkę, z wyszyciem sutaszem tego samego koloru i z kamiennemi guziczkami. U dołu sukienki krajanej zwykłą paletotową formą, zacząwszy od boczków dane plisowanie 15 cent. szerokie. Przody wzdłuż po za wyszyciem z sutaszu założone są w fałdę 4 cent szeroką; pasek 4 i pół cent. szeroki przewleczony jest pod fałdą.

N. 16. Sukieneczka dla dziewczynki lat 4—6.

Uszyta z materyału zielonego w drobną kratkę, składa się z bardzo długiego paletocikowego stanika, przy którym dodana spódniczka 23 cent. długa, naszyta trzema falbankami po 4 cent. szerokiemi. Przody stanika rozchodzące się szeroko do dołu, odsłaniają kamizelkę zapiętą na guziczki. Naszycie dane z aksamitki 2 c. szerokiej; kokardki atłasowe.



N. 29—30. Wykonanie haftu złotem do ryc. 30.

N. 18. Ubranie dla chłopczyka lat 2—4. Krój na arkuszu N. VII, fig. 34—38.

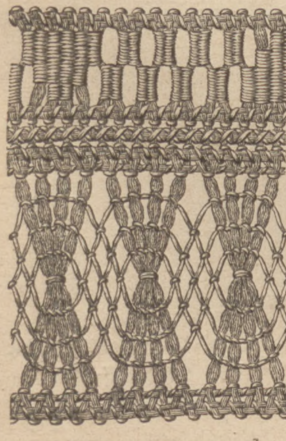
Składa się z bluzkowej sukienki, majteczek i staniczka uszytych z bronzowego sukienka i przybranych pletnią tegoż koloru, dwojakiej szerokości; na rękawach mankiety proste 8 cent. szerokie; pasek 5 c. szeroki.

N. 19. Sukieneczka z szarfą dla małego dziecka.

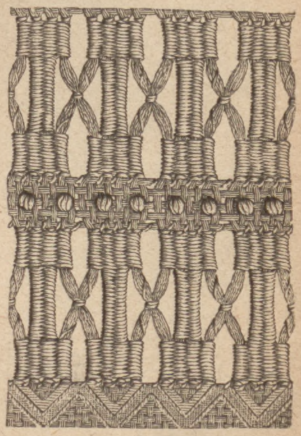
Uszyta z materyału wełnianego w krateczkę białą z niebieskiem i zdobna naszyciem z sutaszu i ruszą 2 i pół cent. szeroką; szeroka szarfa niebieska z materyi jedwabnej.



N. 31. Część haftu złotem do ryc. 28.



N. 32. Kratka ażurowa do ryc. 53 w N-rze 19.



N. 33. Szlaczek brzeżny do ryc. 53 w N-rze 19.



N. 34. Ząbki z mignardissą.

N. 20. Sukieneczka fałdowana.

Na dobrze dopasowanej gładkiej podszewce, materyał zwierzchni przemarszcza się u góry w cztery bufeczki z nagłówkiem, poniżej stanu w dwie bufki po nad falbanką 6 cent. szeroką, przedział między przemarszczeniem ułożony jest w równe fałdki. Spódniczka 19 cent. długa naszyta dwoma falbankami. Wykrój szyi objęty skosem 3 cent. szerokim, na ramionach dodane patki po 2 i pół c. szerokie, 17 długie, ścięte w ząb na końcach.

N. 21—25. Parasoliki.

W pierwszych ciepłych dniach słonecznych używane przy spacerowych t o a l e t a c h wachlarze, o d p o w i e d n i e do zasłonięcia słabych tylko promieni, z nastaniem dni letnich są zastępowane parasolikami składanemi, najpraktyczniejszemi do



N. 37. Paletocik wcinany. Wskazanie kroju na arkuszu N. XVII, fig. 87—87a.

powozu. Od dawna przyjęta forma en-tout-cas, przyozdabiana bywa różnorodnie: aksamitem, pluszem, kolorowemi szlakami, kokardami i pomponami. W laskach i rączkach parasolików panuje niezmierna różnorodność; pręciki bywają złocone, na podszewce haftują fantazyjnie rzuconą gałązkę kwiatów lub koci łepek stanowiący najświeższy kaprys mody. Oryginalne przyozdobienie stanowi ptaszek przytwierdzony z wierzchu na czubku parasolika.



N. 36. Ubranie spacerowe z długą pelerynką pluszową. Kapelusz filcowy haftowany perełkami.



N. 39. Kapotka słomkowa zdobna riuszą i bufką z materyi surah koloru feu i kwiatami. Patrz ryc. 13.

N. 40. Kapelusz słomkowy okrągły, zdobny kokardami i kwiatami. Patrz ryc. 17.



N. 41. Paletot dla panienki lat 12—14. Patrz ryc. 42. Krój i opis na arkuszu N. XIII, fig. 68—72.



N. 43. Szlak z aplikacyą.



N. 35. Wszyweczka.

N. 36 i 39. Okrycie z szalowemi końcami. Krój na arkuszu N. III, fig. 11—14.

Odrobione z czarnego kaszmiru, na lekkiej jedwabnej podszewce, przybrane jest koronką 9 c. szeroką, pasmanteryą z perełek i frendzlą sznelową. Zestawienie części kroju ułatwiają odpowiednie litery, tylny brzeg zwierzchniej połowy rękawów (fig. 13) jest sfałdowany i zachodzi na środok pleców pod kokardą ze wstążki i garnirunkiem z koronki, podług ryc. 39. Z lewej strony na wcięciu pleców przyszyta wstążka do wiązania w pasie, dla dobrego leżenia okrycia. W około szyi suta riusza koronkowa.

N. 37—38. Okrycie z fałdowanem karoczkiem. Krój na arkuszu N. XI, fig 60—62.

Okrycie z czarnego jedwabnego repsu, zdobne czarną hiszpańską koronką 8 c. szeroką i pasmanteryą 9 c. szeroką, ma przy plecach



N. 38. Krótki paletocik. Patrz ryc. 16 Krój na arkuszu N. XII, fig. 63—67.

dodane karoczko, ułożone z dwóch brytów (fig. 61a). Obie połowy przodów (fig. 60) zszywają się od *a—b* z sobą na środku z tyłu a na ramionach od *e—f* łączą z plecami; górny brzeg sfałdowany karoczka przyczepia do przodów od punktu do *i*. Tylne brzegi karoczka podpięte są w duży pukiel, a boczne zebrane są w drobne fałdy. Przyszycie karoczka do okrycia przykrywają plecy



N. 42. Paletot dla panienki lat 12—14. Patrz ryc. 41.

krajane w jednym ciągu z rękawami, których brzeg dolny przykłada się literą *a—a* i przyszywa. Kokardy z repsowej wstążki.

(*Dn*).